




ORLETA



WACŁAW-GASIOROWSKI

Molly Bukowska — 

ORLETA

WACŁAW GAŚSIOROWSKI
(WIESŁAW SCLAVUS)

ORLETA

WYBÓR
WOJSKOWYCH POWIEŚCI NAPOLEOŃSKICH

WYDANIE DRUGIE, Z RYCIAMI



WARSZAWA — 1934
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ, SPÓŁKA AKCYJNA

Prawa przedruków i przeróbek zastrzeżone
Copyright by Waclaw Gąsiorowski, Washing-
ton D. C. 1934.

ODBITO 2200 NUMEROWANYCH
EGZEMPLARZY



91932

CZ W O R O B O K

1814

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ, SPÓŁKA AKCYJNA
Hurtownia dla księgarzy i wydawców pod zarządem E. W. Szelążka
Warszawa, Plac Trzech Krzyży 8

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

K-123/78/91932



L. Kratke 1894.

Przegrana bitwa.

Po lipskim pogromie, po krwawym odwecie pod Hanau, po dwumiesięcznej z górą walce z knowaniami wrogów cesarstwa, z odżywającymi ambicjami Burbonów, z pękającymi niemi władzy, z gnuśnością obciążonych już złotem i purpurą marszałków-królewiat, ze zniechęceniem ludu paryskiego, — kiedy koalicja rwała układ za układem, coraz dumniejsze stawiała żądania, coraz twardsze warunki, a krociami bagnatów skradała się ku granicom Francji, — Napoleon zdarł z siebie grono-staje, rzucił je na pastwę kunktatorom i politykom, a sam runął na czele trzydziestu pięciu tysięcy wojska na Europę...

Hardy Cezar, mocarz wywracający trony, tytan urągający niepodobieństwu, pan majestatów, prawodawca ludów i koron, został w stolicy razem z ostatnim całunkiem, złożonym na czole króla rzymskiego... — a odrodził się, ocknął znów żołnierz niestrudzony, oficer szalony męstwem, niepożytej energii generał, na stal hartowny wódz.

Napoleon był znów Bonapartem. Miał na baterjach to samo oko z Tuluzy; przed kolumną,

idącą do rozpaczliwego ataku, głos jego dźwięczał, jak pod Arcolem; pod gradem kul stawał, jak pod Iławą; gdy mierzył dal horyzontów, posiadał i flegmę Friedlandu, i pewność Marenga, i świadomość Wagramu; był kapralem, jak pod Lodi; błyskawicami szarż ciskał, jak na Somo-Sierra: nie wahał się iść na czterykroć liczniejszego nieprzyjaciela, jak pod Abukirem; zdumiewał szybkością ruchów, jak między Ratysboną a Esslingiem; w łunach biwaków snuł się pomiędzy żołnierzami, jak „obywatel-jenerał“ — z pod Rivoli; nocami, twarz jego okrywały chmury Austerlitzu.

I walczył Bonaparte, i lękiem przejmował, i zwyciężał, a z dnia na dzień czuł, że ziemia z pod nóg mu się usuwa, że tam, gdzie punktu oparcia się spodziewał, była przepaść.

Ranionego lwa mrowie opada. Potrząsa grzywą, pazurami szarpie i miażdży dookoła następujące masy, rykiem posadami skał wstrząsa, a mrowie wpija się w ranę, chłonie krew, a pnie się, zadufane w swą mocność, nawet po lwich kłach!

Tem mrowiem nieubłaganem, ścigającym Napoleona, było mrowie wydarzeń, mrowie zdrady, mrowie nieprzyjaciół.

Z ponad Możajska, z gruzów Moskwy, z oparzelisk Berezyny szedł za Bonapartem odwet — nie szedł, lecz toczył się, jak kula śnieżna po śniegowej równi, bo rósł, bo potężniał. Za odwetem tym darła

się zdrada, zdrada narodzona w Berlinie, zdrada za to, że Napoleon w roku 1807 podniósł zdeptanego robaka do oczu, ulitował się jego błagalnym kurczom i powiedział do niego wspaniałomyślnie: „Żyj, a nie pełzaj“! Zdrada za to że pruskiemu piskłęciu zakazano na cudzem żerować, — zdrada za to, że królowa przy zawieraniu traktatu tylżyckiego nawet swych cnót niewieścich nie poskąpiła; zdrada za to, że pogromcy żelazny pręt wysunął się z ręki, zdrada za to, że zdradzie zaufał.

Prusacy dali hasło i z równym zapalem zwrócili się ku Francji, jak przed kilku miesiącami kołysali się nadzieją zagarnięcia prowincyj nadbałtyckich! A za Prusakami krok za krokiem wypowiadały wierność ludy, państwa, trony. Wypowiadały na polach bitew, wypowiadały wówczas, gdy miały zadać cios ostateczny przeciwnikom Napoleona...

A w szeregach nieprzyjaciół Bonapartego stać zaczęli już nietylko ci, którym zaciążyły pęta, lecz i ci, którzy dawniej nawykli samodzielnie sprawować urzędy, lecz i ci nawet, którzy zawdzięczali mu berła, mitry i pióropusze, którzy Napoleonowi byli winni, że nie szczeźli nędzni, nieznani, że byli jednostkami w tłumie, że z ciemni pułków, że z tych jednolitych, numerami ledwie czasem znaczonych, ciał dobył ich wzrok cesarza, że hojność jego dźwignęła ich na szczyty!

Więc zdradzał Bernadotte za buławę marszał-

ka, za tytuł książęcy, za koronę szwedzką, za darowanie mu błędów, intryg, knowań. Murat zdradzał, że był szwagrem cesarskim, królem Neapolu, że w nim dusza syna oberżysty nie dorosła do purpury. Zdradzał Talleyrand za najwyższe godności, za zaufanie. Zdradzał i Fouché, bo ze zdrady się począł. Sérurier zdradzał ze strachu, aby jego gwiazda nie zgasła razem z gwiazdą Napoleona, Savary zdradzał z głupoty. Śród zdrajców nie brakło prawie nikogo z wybrańców cesarskich, bo ci nawet, którym nie stawało odwagi, aby pięść wyciągnąć ku Bonapartemu, czekali chwili, aby się go zaprzec, aby nowemu panu służby ofiarować, aby imiona swe oplwać! Więc od nieodstępnego Berthiera — marszałka aż do Constanta — lokaja, od Ney'a do mameluka Roustana — wszystkich toczył robak nieufności, niewiary, judaszostwa.

Tylko armja nie straciła na okamgnienie bałwochwalczego przywiązania do orłów, do sztandarów, do cesarza — tylko armja nie wahała się ciałami mościć ostatnich chwil daremnych zwycięstw; tylko armja umiała do dna wychylić swą krwawą czarę.

Paryż już z nikczemnym, obłudnym uśmiechem imał się podrzucanej mu myśli — „że wojna trwa z jednym człowiekiem“ — że „jeden człowiek nie stanowi Francji!“. Armja zaś, ta armja, która z odmetów bitewnych gołemi rękoma wyrywała sztan-

dary nieprzyjacielskie, która konała dla sławy swej ojczyzny, dla jej potęgi, która za każdy obchód paryski płaciła najpierw tysiącami własnych trupów, która marła z głodu, która jedna miała prawo do narzekań, która wyrosła i posiwiła pod gradem kul, która lata strawiła w zapasach śmiertelnych, w nędzy, w niedostatku — ta armja w tym samym jednym człowieku widziała Francję!

Dwudziestego piątego stycznia Napoleon przybył do Châlons-sur-Marne, objął dowództwo i jął rozważać raporty a ślęczyć nad mapami.

Położenie było rozpaczliwe. Wykazy obliczały wprawdzie jeszcze siły wojskowe Francji na trzykroć sto tysięcy żołnierza, ale były to już siły bezwładne, rozdrobnione w fortcach, otoczone wojskami sprzymierzonych, zdemoralizowane mataczynami dowódców.

Więc Davoust z trzydziestu tysiącami strzegł ujścia Elby, sam będąc strzeżony przez siedemdziesiąt tysięcy koalicji; Soult miał dziewięćdziesiąt tysięcy Anglików pod Wellingtonem, godzących na jego zgubę; książę Eugenjusz z trzydziestoma tysiącami dostał się między Austriaków i Murata! Maison i Mortier zajmowali Belgję i z dnia na dzień gotowali się do odparcia ataku następujących Szwedów. Augereau znów był ze swoim korpusem w Lugdunie, jeszcze poza strzałami, lecz temu już

brakło, według raportów, broni, amunicji, furgonów i pieniędzy...

A tymczasem koalicja, szachując na swej drodze każdy atut Napoleona, przecinając każdemu oddziałowi francuskiemu możliwość połączenia się z cesarzem, staczając dziesiątki oddzielnych bitew, niezależnych od głównej rozprawy, była jeszcze dość potężna, by krociami rozwinąć linię bojową i, przerzuciwszy je za Ren, wszystkimi drogami zmierzać do serca Francji!

Wytrawny, choć chwiejny, Schwarzenberg był generalissimusem połączonych armij, Wintzingerode prawem ich ramieniem, Blücher lewem, a Wellington, drący się od pięciu lat ku Pirenejom, tym nieubłaganym ciosem, który Bonapartemu miał wytrącić berło z ręki.

A pod przewodem tych czterech imion, czterech zaprawionych w zapasach z Napoleonem wodzów, stali co najprzedniejsi generałowie, co najgłębsi strategicy, do ognia zaprawieni żołnierze, książęta udzielni, królowie, cesarze.

W szeregach armij sprzymierzonych nie zabrakło ani takich nieprzejednanych wrogów Napoleona, jak ataman Płatow, ani takich pojętnych uczniów Bonapartego, jak Norman Wirtemberczyk lub Thielmann Sas, a dalej szły imiona, od dziesiątków lat rozlegające się na polach bitew, na radach wojennych, na sesjach dyplomatycznych, wypisy-

wane wielokrotnie na aktach traktatów i rozejmów.

Armja sprzymierzonych miała więc: księcia Ludwika Lichtensteina, Hessen-Homburga, Benigna, Yorka, feldmarszałka Bellegarde'a, Olsufjewa, Barklaja de Tolly i hrabiego Colleredo, dalej Sackena, Łanskoja, Wittgensteina, Bülowa, Szczerbatowa, Tołstoja, Lestocque'a, księcia Wejmarskiego, Wredego, Bianchiego, Dybicza, Woroncowa, Rauscha, Langerona, Kleista i Bubnę — a jeszcze i St. Priesta, i Gagarina, i Miłoradowicza, i Giulay'a, i lorda Bettinck'a, i Wimpfena, i Kajzarowa, i Pahlana, i Selawina, i Rajewskiego, i Hilla, i Beresforda, i D'Erlona, i Clintona, i Sarsfielda, i Nostitza, i Nesselrodego, i Castlereagh'a, i Grahama, i Wołkońskiego, i Helfericha, i Kotzlera, i Welmodena.

A prócz tych generałów i dowódców stali co najwyżsi przedstawiciele domów panujących, od arcyksięcia Karola austriackiego począwszy aż do księcia Wilhelma pruskiego. Namioty zaś kancelaryj monarchów wypełniały tłumy równie zręcznych, jak zimnych dyplomatów, mających w odwodzie gotowy układ pokoju i nie uznających korespondencji z Caulaincourtem! Układ, który w ostatecznym razie zapewniał dłuższe konanie cesarstwu Napoleona, lecz nigdy nie skończyłby z nim porachunku, układ ten miał nie ujrzeć nigdy kart historii, bo układ ten był pozornem uciszeniem potoku, który,

natrafiwszy na groblę, milknie, rozkłada swoje spienione przed chwilą fale i waży się — aż, upatrzwszy wyrwę, rusza z miejsca, i z podwójną siłą burzy zaporę, i niesie w dal, i zalewa, i władaniem swoim ogarnia otwarte równiny. Układ ten znikł na tem samem biurku, na którym się narodził — Bonaparte wywalczyć go nie zdołał. Układ ten był dziełem Metternicha!...

Położenie było rozpaczliwe, ale Napoleon go się nie uląkł i szedł.

Dwudziestego szóstego stycznia miał przy sobie Lefebvre'a, Marmonta, Ney, Victora i Oudinota; dwudziestego siódmego pierwsza bitwa pod Saint-Dizier wawrzynami okryła dywizje Milhaua i Duchesne'a, była początkiem zapasów. Po Saint-Dizier nastąpiło Brienne; siedem tysięcy poległych i rannych, śmierć dzielnych generałów Decouza, Forrestiera i kontradmirała Basta, dwunastogodzinny bój, przejście grozą i poszanowaniem Blüchera, który sam stracił wiarę w swoje przechwałki o zmiążdzeniu Bonapartego za lada starciem. Za Brienne przyszło do La Rothière, czyli do pojedynku między trzydziestu sześciu tysiącami Francuzów a stu trzydziestu tysiącami sprzymierzonych! Bonaparte nie uległ — lecz się cofnął, zostawiając Schwarzenbergowi cmentarz. Od La Rothière — nie było już ani dnia ani godziny bez bitwy zajądłej, bez potyczki, bez piorunujących marszów,

gwałtownych przerzuczeń, burzenia i budowania mostów, wrywania sobie furgonów, słabnięcia i wzmagania się ducha żołnierzy.

Sprzymierzeni parli naprzód, Bonaparte grodził im drogę, raz po raz wydzierał im zwycięstwa, a mocą nieugiętą podpierał walący się gmach cesarstwa. Już stojąc nad Sekwaną, pisał do zrozpaczzonego Cambacérès'a: „Gromadźcie żywność, amunicję, rekruta, pracujcie, milczcie i pozwólcie mi działać“. Jedenastego lutego Napoleon z pobojowiska w Montmirail, rzucił jeszcze żonie wyzywającą zapowiedź: „Jeszcze dwie takie bitwy, a ojciec twój powróci za Ren!“.

Bonaparte wierzył w rozstrzygającą moc wygranej bitwy!

I Napoleon wygrywał! Boć wygranymi bitwami były: Saint-Dizier, i Brienne, i La Rothière, i Rosny, i Châlons, i Champaubert, i Montmirail, i Vau-champs, i Sans, i Nogent, i Couterelles! Zwycięstwem Bonapartego nazwać trzeba także rozprawy: Mormant, Valiouan, Montereau, Dollencourt, Meaux, Surville, Bray-en-Laonnais, Reims, Berry-au-Bac, Craonne, Epernay, Laon, Laferté, Bar-sur-Seine, i Fère-Champenoise, i Plancy, i Méry! Wszak czwartego lutego kongres mocarstw sprzymierzonych, zebrany w Châtillon, traktował o zawieszeniu broni, a z Caulaincourtem żwawą wiodł znów korespondencję; wszak to w tym samym lutym uli-

cami Paryża prowadzono z triumfem całe kolumny świeżo wziętego niewolnika; wszak w tym samym lutym na polu Montereau Bonaparte zawołał: „Ocaliłem stolicę mego cesarstwa!“ Gdzież więc pogrom, gdzie ów łomot, który miał w miesiąc niepełna powalić tytana, któryby ciężarem upadku wystawił, usprawiedliwił runięcie kolosu?!...

Los okrutną zgotował Napoleonowi niespodziankę, bo, pozwoliwszy mu zakosztować raz jeszcze pełni sławy wojennej, jednocześnie dowiódł, że te same czyny, które kapitana artylerji wyniosły na szczyty panowania, też same czyny przyśpieszą upadek cesarza.

Cóż teraz wygrana bitwa, co znaczyło zniesienie korpusu nieprzyjacielskiego, co zdobycie baterji, obrona pozycji, gdy Anglików, wchodzących do Bordeaux, witały gorące okrzyki Francuzów, gdy już takie mizerne miasteczko, jak Troyes, ośmieliło się okazać swoje zadowolenie z widoku wkraczającego Schwarzenberga, gdy setki komitetów rojalistowskich burzyły zabiegi wiernych Bonapartemu, a wzywały koalicję do współdziałania, zachęcały do energii gdy nakoniec w sercu Francji szła minowa robota Talleyranda, gdy serce to stygło dla cesarza!

A przecież los nietylko wygranych bitew, ale złudzeń nie poskąpił opuszczonemu teraz wybrańcowi. Po czterykroć dawał mu jeszcze oglądać pro-

pozycje rozejmu, po dwakroć budził w nim nadzieję zaszczepienia w łonie sprzymierzonych rozdzwięku przez przeciągnięcie Austrii. Do zagarnięcia Soissons przez koalicję utwierdzał go w mniemaniu, że na drodze do Paryża złamie nieprzyjaciół; od ponownego opanowania Soissons krzepił myślą, że ocalenie leży w Moguncji, w wyprowadzeniu w pole załóg fortecznych i w zmiążdżeniu sprzymierzonych u bram stolicy, która się nie podda!...

Dwunastego marca główna kwatera cesarska w Soissons.

Po morderczych bitwach na płaszczyznach Craonne'u i dolinach Laonu, w których Blücher daremnie szukał odwetu za Mormant — po rozbiciu w Rosnay korpusu Saint-Priesta — Napoleon odpoczywał, rozsyłając mocne podjazdy, a nowe snując plany.

Od czterdziestu dni walczył w widłach Marny i Sekwany, od czterdziestu dni grodził nieprzyjaciółom dwie drogi jednocześnie, broniąc traktów i od Châlons i od Troyes. Zadawał ciosy Blücherowi dlatego, żeby mieć czas do tem zjadlejszego natarcia na Schwarzenberga, odwracał się zaś od generalissimusa wojsk sprzymierzonych tylko wówczas, gdy z kolei Blücher nabierał znów śmiałości. Od czterdziestu dni znosił luźne oddziały, kontrmarszami krzyżował rachuby koalicji, zmuszał ją do rozdrabiania i rozdrobnione burzył. Trupami



słał każdą piędź ziemi, z godziny na godzinę stawał na kartę całą przyszłość Francji, własne życie. Od czterdziestu dni między dwoma ogniami walcząc — przecinał im komunikację, pozbawiał możliwości uderzenia na siebie połączonymi siłami. a mimo te wysiłki, półkole bagnatów, wymierzonych ku Paryżowi, zacieśniało się, posuwało. A mimo błyski nadziei, chmury mrokami spowijały horyzonty jutra — fale nieprzewidzianych wypadków waliły ze wściekłością — fatalność brała ryczałt za lata swojej niemocy wobec gwiazdy Napoleona!

Do Soissons wieści nadeszły zewsząd obfite. Wieści te tonęły w pałacyku biskupstwa, gdzie cesarz obrał był sobie kwaterę. Wieści te ledwie w okrucinach pogłosek, domysłów, niejasnych półsłówki dosięgały sztabu cesarskiego, ledwie zadumą a troską, bijącą z twarzy generałów, tłumaczyły armji istotę położenia. A położenia tego nie znał ani Caulaincourt, ani Cambacérès, ani Metternich, ani Talleyrand, ani przyboczni sekretarze cesarscy, jak baron Fain, ani zaufany Meneval, ani wierny Maret, ani nieodstępny topograf Bacler d'Albe, ani bystry Berthier, ani przewidujący naczelnik sztabu, generał Monthion.

Ogrom wypadków, ogrom grozy wiadomy był jednemu cesarzowi. W niego biły tylko hiobowe raporty, jego dosięgały zwoje papierów, zwiastują-

cych mu pogromy, zawody, przemieszczenia, zdrady. Napoleon czytał je, rwał niekiedy na strzępy, dyktował setki rozkazów, które najbliższych w zdumienie wprowadzały, i ani razu się nie ugiął, ani razu nie dał wojsku oglądać swojej słabości, ani razu nie dopuścił do okazania sobie współczucia.

A w Soissons nie zabrakło nowin dość silnych, aby najhardszego powalić.

Od Macdonalda i Oudinota, którzy mieli rozkaz odeprzeć Schwarzenberga za Aubę, w czasie gdy on sam, Napoleon, zmagał się z Blücherem pod Craonne, — nadeszły raporty niepomyślne. Ani Macdonald, ani Oudinot, ani dzielny generał Gérard nie zdołali rozbić ośmiu tysiącami czterdziestu tysięcy. Dwa tysiące żołnierzy stracili i cofali się ku Nogent, odstawiając drogę Schwarzenbergowi.

Od Caulaincourta nadjechał kurjer z oświadczeniem, że sprzymierzeni odrzucają proponowane im podstawy frankfurckiego traktatu do zawarcia przymierza i lada godzina mogą rozwiązać kongres!...

Z pod Troyes szpiegowie donosili o misji pana de Vitrolles, który imieniem Paryża wzywał sprzymierzonych do podania ręki „prawym Francuzom“, a legitymował się zaręczeniami Talleyranda!

Z Paryża, od pana Menevala, przybył goniec z listem o rezultacie posiedzenia rady państwa. Napoleon, chcąc przekonać Paryż o niemożności za-

warcia pokoju, a tem samem obudzić w nim godność, skłonić do podjęcia oręża w imię dumy narodowej, przesłał był bez osłonek cały wypis żądań sprzymierzonych. Rada się odbyła. Rezultat jej, mimo zabiegów Cambacérès'a a dobrej woli Józefa Bonapartego, miast patriotycznego wybuchu — sprowadził żądanie podpisania przez cesarza pokoju, podpisania hańby!...

Hullin, komendant placu w Paryżu, raportował, że, obawiając się przerażenia ludności, zmuszony jest bardzo oględnie i niepostrzeżenie prowadzić roboty fortyfikacyjne.

Augereau skarżył się na brak sił dostatecznych do stawienia czoła Blanchiemu i opanowania Szwajcarii. Soult oświadczył, że wobec zdrady w Bordeaux, musi się wzmóc, żeby działać na Wellingtona zaczepnie, Suchet z Katalonji błagał o przyspieszenie powrócenia wolności Ferdynandowi VII, gdyż to jedynie zdoła umożliwić mu odwrót do Francji. Rekonesanse z pod Méry, Plancy, Châlons, wróciły z alarmującymi wiadomościami o dźwiganii się Schwarzenberga już ku Provins.

Gorzkie, ponure nowiny szły do biskupstwa w Soissons; każda z nich była na szachownicy toczonej walki ciosem dla Napoleona, każda wyrwała mu z pod nóg piędź ziemi, każda zdolna była złamać najmężniejszego. Bonaparte zaś jeno brwi ściągnął, usta zaciął i jął działać.

Minister policji Savary odebrał surowe napomnienie za brak czujności nad knowaniami. Caulaincourt otrzymał polecenie... zerwania układów, jeżeli sprzymierzeni trwać będą przy hańbiących Francję punktach. Ponowiono rozkazy do Maisona, Carnota, Merle'a, Moranda i Durotta, aby wyprowadzili żołnierzy z fortec nad Mozą, z Lille, Valenciennes, Mans, Metz i Antwerpji, połączyli się w korpus pod Maisonem i zajęli tyły armji sprzymierzonej. Wysłano wezwanie do Paryża, do Le-fevre'a-Desnouette'a, aby natychmiast przybywał z młodą gwardją, pułkami artylerji, resztkami będących na formacji, wojsk polskich i dywizją gwardji narodowej. A cesarz sam zajął się reorganizacją korpusów Victora i Ney'a, rozpraszając młodego żołnierza między starymi pułkami. Opatrzył i rozdzielił przyprowadzone z Ardenów posiłki przez Janssensa — i rozchmurzył czoło...

Co Napoleonowi były knowania, układy, zdrady, zawody — gdy oto w płomiennem jego spojrzeniu gorzał już nowy plan!

Plan był krótki. Z wojskiem, przyprowadzonym przez Desnouette'a, urośnie do sześćdziesięciu tysięcy i rzuci się na tyły Schwarzenberga. Maison z pięćdziesięciu tysiącami, wziętymi z twierdz, zajmie tyły Blüchera. Oudinot z Macdonaldem, od strony Nogent, zgotują napad na kawalerję Wintzingerodego. Klęska koalicji nieunikniona, bo, za-

nim się otrząśnie, zanim wzmoże — Soult wyciągnie ramiona od Tarbes do Bordeaux i Lugdunu. Davoust targnie pętami i zerwie je — Augereau wsparty będzie od strony Włoch przez Eugenjusza. Suchet ruszy ku Szwajcarji! No, a przecież w Gdańsku, Kistrzynie, Szczecinie, Dreznie, Magdeburgu, Głogowie, Würzburgu są jeszcze załogi, czekające rozkazów! A w razie ostateczności, Paryż mimo zabiegi sprzedawczyków, — wie, ile zawdzięcza orłom!

Trzynastego marca Napoleon przeniósł się z Soissons do Reims, a stąd wyciągnął ku Epernay, pozostawiając za sobą mocne oddziały Charpentiera i Mortiera dla niepokojenia Blüchera.

Siedemnastego marca raporty doniosły, że Schwarzenberg rozciągnął swą kolumnę na drodze Troyes-Provins. Napoleon ocenił położenie: jeden rzut ku Méry i przetnie generalissimusa i uderzy w sam środek nieprzyjaciela, rozciągniętego marszem.

Ośmnastego był Bonaparte już w Fère-Champenoise i tu, rozbiwszy Kajzarowa, sunął ku Plancy.

Tymczasem Schwarzenberg, zaalarmowany roz biciem Saint-Priesta i zbliżaniem się Napoleona, jął śpiesznie cofać się ku Nogent i Troyes.

Dziewiętnastego marca Bonaparte zdążył jednak dosięgnąć straży tylnej korpusu księcia Wirtemberskiego, wyciąć mu kilkuset żołnierzy i ode-

brać tren mostowy. Zdobycz ta była skarbem nieocenionym, a choć jednocześnie zwiastowała, że Schwarzenberg nie dał się podejść i uchodzi, jednak sowiec wynagradzała zawód. Napoleon zresztą miał już plan drugi! Miał i natychmiast rozpoczął go wykonywać.

Ney, Oudinot, Macdonald i Gérard odbierają rozkazy połączenia się z cesarzem pod Arcis. Napoleon tamże czeka na nadciągnięcie posiłków Desnouette'a i rusza na Vitry i Sant-Dizier, gdzie znów przybyć powinni Mortier, Marmont i Charpentier. Schwarzenberg, oczywiście, bojąc się o tyły, cofa się także. Blücher sam nie śmie następować. Napoleon zaś wlecze Schwarzenberga ku twierdzom pogranicznym, wlecze... pod armaty idącego Maisona i tam na strzępy rwie i niweczy jądro sił koalicji.

Dwudziestego marca Napoleon zwrócił się do Arcis-sur-Aube. Sebastiani z dywizjami Colbert i Exelmans szedł w przedniej straży, Letort z jazdą pozostał w Méry dla uporządkowania odebranej nieprzyjacielowi zdobyczy.

.

Było południe. Pałace promienie słońca chłoneły rozciecz zimową, lśniąca na polach i dolinach Szampanji, oparami wypełniały powietrze, poity chmury, a w złociste swe ramy zagarniały szarość i głu-

szę. Szarzyńnę bowiem i głuszę miała żyzna, soczysta ziemia Szampanji, — głuszę wyludnionych a napoły w gruzy walących się miast i wiosek, — szarzyńnę stratowanej, białej w błotniste czarnoziem runi zielonej. Tam, gdzie niedawno jeszcze rozposcierały się kunsztownie rzezane kobierce pracy rolnika, gdzie zabiegliwość cichych mieszkańców każdą równała steczkę, każdej ścieżynie mościła kształt, każdą piędź ziemi hołubiła — tam widać teraz tylko polany ze świeżemi śladami ludzkich legowisk, tam co krok zawały ziemi, wyrwy, doły, bródzy bezkształtne, płaszczyzny, wypełnione masami jakichś ponurych resztek i strzępów, a wiejące trupim oddechem płytko kopanych mogił — przejmujące grozą.

Było południe. Miasteczko Arcis przeżywało znów okrutne dla cichych swych mieszkańców dni. Od miesiąca brano z nich przymusowe haracze, wrywano każdy kęs chleba, każdy kawał zdatnego na bandaż płótna, każdą wiązkę siana, wyprowadzano im konie ze stajni, bydło z obór, zabierano co zdrowszych parobków do dźwigania noszy, do podtrzymywania furgonów, do ciągnięcia razem z końmi armat. Mieszkańcy Arcis wyrzekali, protestowali, a niekiedy, na widok ojczystych sztandarów, milkli i w pokorze przyjmowali nakazy. Lecz do Arcis, prócz oddziałów francuskich, zaczęły coraz częściej zaglądać rekonesanse nieprzyjacielskie,

a te już nie rekwirowały, nie żądały lecz darły bez pardonu wszystko, co się zagarnąć dało, a kulami odpowiadały za lada oporem. Aż nareszcie do Arcis zawitała nędza — nędza tak okrutna, że wojska zaczęły od niej stronić, omijać ją. Mieszkańcy odczuli, wiedząc, iż nie mają już nic, co by mogło być zabrane...

Tymczasem, pewnego dnia, na drodze od Troyes, ukazała się chmura korpusu Wredego i spadła na Arcis. Mieszkańcy powitali marszałka ironicznymi spojrzeniami. Nie mieli już nic zgoła, co by skusić mogło najezdnicę. Puste śpichlerze, puste śpiżarnie, puste domy — mężczyźni, co zdrowsi, dawno uprowadzeni, kobiety, co młodsze, zbezczeszczone i przepadłe, sklepy zrabowane oddawna — a pozatem głód i tyfus.

Wrede znał położenie Arcis, niczego nie żądał od mieszkańców, o nic nie pytał. Dwa dni biwakował, dwa dni rozsyłał podjazdy, a trzeciego dnia dźwignął się jednocześnie z tępem echem armat, idącym od strony Méry nad Sekwaną.

Mieszkańcy, na widok ustępujących Bawarczyków, uśmiechnęli się znów ironicznie i spokojnie przypatrywali się wymarszowi. Wrede jednak w ostatniej chwili dostrzegł jeszcze w Arcis coś, co podlegało prawu wojny — oto Arcis miało jeszcze domy, miało mury!...

Rozkazy zostały wydane, dwa bataljony pie-

choty rzuciły się do zabudowań z pochodniami w rękę, dwa inne stanęły pod bronią, strzałami witaając każdego śmiałka, któryby ważył się pożar tłumić, ostatniego dobra swego bronić.

Arcis stanęło w płomieniach.

Gdy o świcie ostatnie placówki bawarskie zniknęły na kłębam dymów spowitej drodze do Mesnil, mieszkańcy z rozpaczą rzucili się na ratunek ostatnich, całych jeszcze dachów, nie stoczonych płomieniem ścian, nie rozpadłych w gruzy murów. Walka była zażarta, lecz krótka, bo do ocalenia zostało tak mało, że w niespełna dwie godziny ugaszono wszystko, co ugaszone być mogło.

Obficie a dostatnio zabudowane Arcis zeszło do kilkunastu domostw okopconych i jednej wieżyczki kościółka, zresztą żużle, stosy rozpalonych głowni i welony żrącego dymu; a wśród tego zniszczenia, wśród tu i ówdzie leżących we krwi ciał, świadczących o wiernem spełnieniu rozkazów marszałka Wredego, błąkała się gromada ludzi napoły obłąkanych, napoły skamieniałych, śmiejąca się i do sterzących tu i ówdzie kominów, i do wystrzelających z popielejących pogorzeli słupów ognia, i do iskier pełzających z sykiem po zczerniałych balach, i do własnej rozpacz.

Tymczasem, zaledwie słońce wspięło się ponad swą pościel różową, a starło ze sklepienia niebieskiego lunę pożaru — pomiędzy zgłiszcza Arcis —

wpadł jak wicher szwadron szwoleżerów gwardji, rozbił się na plutony i znikł na rozdrożu, pod miastem. Za szwadronem tym nadciągnęli dragoni, a za nim ukazała się wstęga korpusu Sebastianiego.

Arcis zadrżało znów w posadach od szczęku oręża, tupotu końskiego, miarowych stąpań żołnierzy a zgrzytu armatnich łańcuchów.

Sebastiani rozkwaterował się w ocalałym pałacyku nad Aubą i jął czekać na będącego już w drodze cesarza, tymczasem zaś prowadził wywiady. Ciągnięto więc osłupiałych mieszkańców przed adjutantów sztabowych, zasypywano pytaniami, lecz niewiele dowiedzieć się zdołano — arcejczyzy mieli zaledwie świadomość istnienia, nie obejmując jeszcze świadomości poniesionej klęski.

Sebastiani się niecierpliwił, bo nawet rekonesans szwoleżerów nie wracał — a tu od cesarza już dwóch adjutantów nadjechało z żądaniem wiadomości o nieprzyjacielu.

Mijały godziny. Ordynansi cesarscy spadali jeden po drugim. Sebastiani ledwie mógł pohamować wzburzenie. Wysłał dragonów za szwoleżerami, za dragonami dwa plutony strzelców — żaden oddział nie wracał. Do Arcis zaś ciągnęły bez wytchnienia bataljony, pułki, baterje, furgony i powozki wojskowe i tu tłoczyły się, mieszały, rozkładając się między pogorzeliškami, a daremnie zapytując o rozkazy. Sebastiani nic tu nie mógł rozka-

zać, mając sam wyraźny ordynans czekania w Ar-
cis na dyspozycje cesarskie — a cesarz znów, przed
wydaniem dyspozycji, chciał mieć wiadomości
o nieprzyjacielu.

Czary rozdrażnienia i gorączki, trawiącej Seba-
stianiego, dopełniło przybycie generała Sokolnic-
kiego.

— Jenerale! Najjaśniejszy pan żąda natych-
miastowego raportu! Gdzie jest nieprzyjaciel?!

— Nie wiem! Rekonesans nie wrócił!

— Sześć godzin z górą minęło!

— I pół! — dorzucił oschle Sebastiani.

— Należało wybrać ludzi, którym można było
zaufać!

— Masz pan słuszność — to też darować sobie
nie mogę, że zaufałem pańskim rodakom!

Sokolnicki zbladł.

— Nie zapominaj pan, że służbową prowa-
dzisz ze mną rozmowę.

— A pan mi nie czyń uwag!

— Powtarzam ci, jenerale, słowa cesarskie!

— Odpowiadam na nie, jenerale! Odpowia-
dam, jak powinienem! Do pioruna, lichy mnie sku-
siło tych narwańców wysłać!...

— Dragoni!... Dragoni!... rozległy się pomie-
szone głosy przed pałacym.

Sebastiani wybiegł ku wracającemu rekonesan-
sowi.

Wiadomość była pomyślna. Kapitan dragonów
zaraportował, że drogi ku Chaudrey i Mesnil są
wolne, a nieprzyjaciel uchodzi do Brienne.

Ordynansi cesarscy ruszyli na prześcigi ku Plan-
cy. Sokolnicki został.

Sebastiani uspokoił się, a chcąc załagodzić
sprzeczkę z adjutantem cesarskim, ozwał się po-
jednawczo:

— Żądałeś, jenerale, odpowiedzi!... Masz ją!
Widzisz, że jej nie przetrzymałem ani sekundy —
bo sam wreszcie chciałbym wiedzieć, dokąd się mam
ruszyć!

— Czy tylko rekonesansowi można wierzyć!
Odpowiedzi tego kapitana wydały mi się niepewne!

— I mnie także — ale cóż robić? — innych
niema!...

— Kto powiódł szwoleżerów?!

— Jermanowski!

— I pan o nim zwątpiłeś?! Posądziłeś go...

— Za pozwoleniem! Ani zwątpiłem, ani go nie
posądzam — tylko sądzę — że sam, jenerale — znikł
i ani znaku życia!... Toż służba do pioruna!...
Każda minuta stanowi!...

— Mógł wpaść w zasadzkę!

— Lecz bodaj jeden żołnierz powinien był
umknąć!

Sokolnicki nie zdążył odpowiedzieć, gdy do
komnaty wbiegł adjutant Sebastianiego.

— Strzelcy powrócili z rekonesansu!

Sebastiani spojrzął z triumfem na Sokolnickiego.

— Widzisz pan, tak się spełnia rozkazy!...

Sokolnicki w milczeniu poszedł za Sebastianim wysłuchać drugiego raportu. Raport ten, ku wielkiemu zdziwieniu Sebastianiego, zapewniał najkategoryczniej, że nieprzyjaciel gotuje się pod Ortillon do przeprawy przez Aubę.

Sebastiani wpadł w gniew. Wezwał natychmiast kapitana dragonów i, stawiając go przed oczyma oficera strzelców, badał natarczywie. Badanie atoli nic nie pomogło — każdy z oficerów obstawał przy swoim. Dwie te, wprost przeciwne sobie, wieści były klęską — bo nie pozwalały na żaden stanowczy ruch. Bo jeżeli Schwarzenberg cofał się ku Brienne, należałoby przejść Aubę i dążyć, jak chciał cesarz, do Vitry — jeżeli zaś nieprzyjaciel przeprawy szukał pod Ortillon, byłoby to wskazówką, że zamierza uderzyć na Arcis z dwóch stron.

Gdy konfrontacja oficerów, prowadzących rekonesanse, nie doprowadziła do żadnego punktu stycznego, Sebastiani zmuszony był wysłać nowy raport do cesarza, choć zgóry przewidywał, że czekają go najostrzejsze wymówki.

Tymczasem zaledwie ordynans ruszył do Planicy, przed Sebastianim stanął kapitan Montmorency z rozkazami, opartymi oczywiście na pierwszym wywiadzie, bo zalecającymi pośpieszny marsz za Aubę.

Sebastiani zawahał się i, po naradzie z Sokolnickim, Exelmannem i Colbertem — zwrócił ordynansa cesarskiego z odpowiedzią, że czekać będzie potwierdzenia rozkazów z uwagi na drugi rekonesans.

Było południe. Napoleon ze sztabem swym zbliżał się do Arcis. Twarz cesarza jaśniała pogodną zadumą. Wiadomość o cofaniu Schwarzenberga do Brienne potwierdzała w zupełności przewidywania, czyniła plan ostatni niezawodnym.

Dobre usposobienie cesarza odzwierciedliło się w całym jego otoczeniu. Berthier spokojniej poglądał, Drouot, Bertrand i Kossakowski gawędzili między sobą, Monthion rozpytywał Bacler d'Albe'go o położeniu Nancy, generał Déjean, wcisnąwszy się między gromadkę oficerów ordynansu, którą stanowili panowie: Laviboissière, Grabowski, Carman, Fredro, Mühlberg, Reytan, Desaix, Gourgaud, Jelski, Lamezan i Suchorzewski, zabawiał ich półszepcetem anegdotkami. Oficerowie dusili się ze śmiechu, tem więcej, że Déjean, ilekroć tylko jadący na przodzie cesarz poruszył głową, w tej chwili przybierał niezmiernie surowy a poważny wyraz twarzy.

Nagle przed cesarzem stanął ordynans Sebastianiego.

Napoleon pochylił się ku ordynansowi — ściągnął brwi i spiął konia ostrogami. Koń wyciągniętym galopem ruszył naprzód. Rustan w oka mgnie-

niu pochylił się na siodle i wyprzedził swego pana, aby mu drogę torować poprzez idące kolumny wojska. Sztab bezładną gromadą podążył w ślady Napoleona.

Cesarz jak burza spadł na Sebastianiego.

— Co to za bałamuctwo! Jak mogłeś się ociągać?

— Sire!

— Rozkaz był wyraźny!... Nie znasz służby?!

— Rekonesanse!

— Warte są, aby ich rozstrzelać!... Jesteś pan gorszym jeszcze generałem, niż dyplomata!

— Sire... wobec wiadomości o ruchu ku nam Schwarzenberga! — tłumaczył się posiniały generał.

— Szaleństwo! — Żakostwo!... Wystarczy zastanowienie, że jeżeli Schwarzenberg cofnął się z pod Provins i tam nie przyjął bitwy, jeżeli uszedł z Méry, to musi innego planu się trzymać! Zresztą pańska rzecz słuchać!...

Napoleon zeskoczył z konia i odwrócił się od Sebastianiego.

— Ney! Jesteś już tutaj!...

— Dopiero co zdążyłem, sire!

— Dobrze! Gdzie pański korpus?

— Jeszcze z tamtej strony Auby, pod Chesne. Nie wiem właśnie... wywiady moje doniosły o podejrzanych ruchach armji nieprzyjacielskiej. Oba-

wiam się, czy nie należy zacząć od przeprowadzenia pod Chesne wszystkich oddziałów.

— Po co?

— Żeby zburzyć most na Aubie i zasłonić się od nieprzyjaciela.

— Mówisz pan, jakbyś nie był Neyem!

— Sire!... Moje rekonesanse!...

Napoleon zachnął się.

— Dajże mi pan rekonesans. Zapewne, że tu można stracić grunt! Cóż? Widzisz sam: Sebastiani nie mógł. Dwie dywizje kawalerji mu nie wystarczyły!!...

Sebastiani drgnął, nacisnął kapelusz stosowany i rzucił się ku stojącym przed gankiem koniom. Monthion dopadł Sebastianiego.

— Dokąd? Co pan zamysłasz?

— Jadę na rekonesans!...

Sebastiani wskoczył na siodło, skręcił ku wyciągniętym wzdłuż ulicy dragonom, poderwał komendę trzy szwadrony i powiódł cwałem ku Troyes.

Sebastiani pędził naoslep. Gorycz, którą go napoiły wymówki cesarza, wymówki w obliczu całego sztabu, przed frontem wojska niemal — paliły go, szarpały.

Szwadrony, posłuszne swemu dowódcy, szły za nim, nie rozumiejąc, co znaczy ten galop szarżowy. Naraz, na prawem skrzydle, ozwały się chrapliwe

dźwięki trąbek... Sebastiani zdarł konia i wpadł na pułkownika.

— Co to za sygnał? Jak pan śmiesz?!

Pułkownik wskazał jenerałowi na wzgórze, z poza którego rwał oddział kawalerji.

Sebastiani spojrział i rzucił przez zęby:

— Szwoleżerzy!...

Wzrok nie zawiódł jenerała. Na szarej wstędze jeźdźców ukazały się białoczerwone chorągiewki — za nimi odcięty się ciemną taśmą czworograniaste czapy.

Sebastiani zatrzymał dragonów i czekał, aby całym ciężarem zalewającej go żółci uderzyć w ten krnąbrny szwadron. Czekał niedługo. Szwadron jak kula stoczył się ze wzgórza. Galopujący przodem oficer, na widok Sebastianiego, skinął pałaszem i osadził szwoleżerów.

Jenerał wysunął się ku szwadronowi, a nie odpowiadając na oddawane mu honory, rzucił ostro:

— Gdzie „Jermanowski?! Jermanowski?!“

Oficer, jadący na czele szwadronu, podjechał do Sebastianiego, salutując pałaszem.

— Według rozkazu — jenerale!...

— Skąd pan wracasz?! Gdzie rekonesans?...

— Mam honor zaraportować...

— Masz honor wracać chyba ze spaceru! — przerwał z wybuchem Sebastiani. — Masz pan honor narażać całą armję na wyczekiwanie! Masz pan

honor postępować jak młokos, jak niedorostek! Co? Milczysz pan! Moja wina, żem panu zaufał! Możesz być pewien, że ja ci tego nie zapomnę! Awansu się nie spodziewaj — dziś raport złożę księciu Neuchâtelu.

Jerzmanowskiemu oczy rozgorzały.

— Panie jenerale, racz pohamować swój gniew. Pułkownikiem jestem, a szluf nie wziąłem z antykamery cesarskiej!

— Śmiesz pan jeszcze odpowiadać? Dosyć! Formuj się! Marsz!... Cesarzowi zdasz raport — nie mnie! Bo ja takich oficerów nie zniosę w swoim korpusie!

Sebastiani zawrócił konia i ruszył z dragonami ku Arcis. Szwoleżerzy w głuchem milczeniu postępowali za dragonami, nie zwracając uwagi na półuśmiechy i drwiące półsłówka.

W Arcis — Sebastiani z całym poczuciem sprawiedliwości swego gniewu — stanął przed cesarzem. Napoleon wysłuchał skargi i zmarszczył się.

— Lekceważenie, bezład! Stawić go przedemną!

Adjutant wprowadził Jerzmanowskiego. Cesarz spojrział ku pułkownikowi szwoleżerów i jął mierzyć szybkimi krokami komnatę. Naraz przystanął przed Jerzmanowskim i zagadnął sucho:

— Raport?!

Jerzmanowski wyprężył się i wyrzucił jednym tchem:

— Nieprzyjaciel zajmuje całą przestrzeń od Troyes do Brienne i posuwa się ku Arcis. Dziewięćdziesiąt tysięcy. Dowodzi Schwarzenberg. Król pruski w obozie. Jazda bawarska czeka sygnałów za wzgórzami w Mesnil. Za nią nadciągają: Giulay, Wirtemberg i Rajewski! Wrede z Austriakami idzie wzdłuż Auby na nasze lewe skrzydło. Awangardę trzyma generał Kajzarow. Gwardje maszerują w rezerwie.

Jerzmanowski umilkł. Cesarz brwi ściągnął.

— Pułkowniku! Zkądże te baśnie? Bredzisz! Gdzieś był?

— W Troyes i w Brienne! Taki miałem rozkaz generała Sebastianiego!

— W zasadzie! — podchwycił generał. — Lecz sam się pan płączesz. Bo skoro nieprzyjaciel zajmuje linię Troyes-Brienne, nie mogłeś być ani w Brienne, ani w Troyes!!

— Oczywiście! — mruknął gniewnie cesarz.

Jerzmanowski głowę pochylił.

— Najjaśniejszy panie, jeżeli słowa moje nie znajdują wiary, rozkaż wysłuchać dwóch oficerów bawarskich, pochwyconych przez moich żołnierzy!

Napoleon wsunął szyję w kołnierz munduru,

— Dosyć! — przerwał surowo. — Zameldujcie się do mnie wieczorem!

Jerzmanowski wyszedł ociężale. Bonaparte pochylił się nad leżącymi mapami. Sztab spoglądał znacząco na siebie. Sebastiani skarżył się półszepcetem Berthierowi na nieudolność Jerzmanowskiego, który go naraził na wymówki cesarza. Książę Neuchâtelu kiwał zagadkowo głową i według zwyczaju, skubał swój wydatny nos, co niechybnym było znakiem zamyślenia.

Naraz cesarz podniósł głowę.

— Berthier!

— *Sire!*

— Dywizje Colbert i Exelmans na koń! Dyrekcja ku Troyes! Ney z piechotą do Grand Torcy! Drouot baterję pod Arcis! Ordynansa do Frianta, żeby pośpieszał!... Dwóch ordynansów do Desnouetta. Furgonami niech wiezie piechotę! Pano wie, chwili czasu niema do stracenia! Bitwa!...

Sztab cesarski drgnął, wyprężył się i rozpadł się w oka mgnieniu, rozwożąc rozkazy, porywając za sobą pułki i bataljony, każdą sylabę cesarza zamieniając na dziesiątki poleceń, które z kolei oficerowie frontowi rozdrabniali na komendy zwrotów, poruszeń, ostatnich opatrzeń broni, ostatnich napomnień.

Dźwięki trąbek, warczenia tarabanów i chrapliwe głosy dowódców wstrząsnęły zgliszczami Arcis i jęły wyrzucać stamtąd wszystkimi drogami zwarte kolumny wojska.

Napoleon tymczasem rozglądał się jeszcze w mapie i zamieniał urywane zdania z panem Baccier d'Albe. Wreszcie odwrócił się ociężale i skinął na mameluka. Rustan podał cesarzowi kapelusz i szpicrutę.

— *Sire!* — odezwał się nagle Berthier. — Gdyby jednak wiadomości przywiezione były fałszywe!

Cesarz potrząsnął głową.

— Niepodobna! W pierwszej chwili nie zorjentowałem się, że to był „Jermanowski!“ Jenerale Sebastiani, złe, które wyrządziłeś — musisz naprawić! No — no!... Nie chmurz się! Ruszaj do dywizji, a potem, jak ochłoniesz, pamiętaj, żeś ty większą wyrządził przykrość „Jermanowskiemu“, niż ja tobie!... W drogę, nie marudź!... Gra może być nielada.

Sebastiani skłonił się i wybiegł z komnaty. Napoleon pochylił się ku księciu Neuchâtelu.

— Berthier! Furgony za Aubę! Most podminować! Zostaniesz tutaj! Monthion będzie przy mnie! Przedewszystkiem Frianta! Rozumiesz?!... Ale! Do Letorta, do Méry, natychmiast, żeby przybywał — inaczej może być odcięty.

— Według rozkazu, *sire*. Chociaż...

— Co takiego?

— Jeszcze zdążylibyśmy się cofnąć!

Napoleon ciął w powietrzu szpicrutą.

— Schwarzenberg chce bitwy, będzie ją miał!

— Mamy dwadzieścia tysięcy przeciw dwięćdziesięciu!

— Niewiele co mniejszy stosunek, niż pod Arcôle!...

Berthier umilkł. Cesarz wyszedł na ganek, koniuszy podprowadził konia. Napoleon wsiadł ociężale i, targnąwszy zlekka cugłami, ruszył lekkim kłusem przez ulice, zatarasowane w części oddziałami wojska. Za Napoleonem podążył sztab, uszczuplony mocno wskutek rozesłania rozkazów, za sztabem zaś ciągnął służbowy szwadron strzelców konnych gwardji.

Maszerujące wojsko witało Napoleona okrzykami, cesarz odpowiadał skinieniem ręki, a niekiedy zagadywał do żołnierzy i oficerów, wywołując tem jeszcze większy zapal, jeszcze gorętsze wiwaty.

Na pagórku, poza miastem, cesarz zatrzymał się. Adjutant podał mu lunetę. Napoleon badał przez chwilę okolicę, wreszcie obejrzał się ku jenerałowi Monthion.

— Zobacz pan! Schwarzenberg się spóźnia!

Przeciągły wystrzał armatni w kierunku Grand-Torcy odpowiedział cesarzowi.

Napoleon ściągnął szarpiącego się zlekka konia.

— Jest więc — tem lepiej! Obawiam się, czy Ney zdąży obsadzić pozycję! Jenerale Monthion, napędź mu resztę piechoty!

Monthion pochylił się po koniu. Cesarz tymczasem zwrócił konia ku Arcis, w stronę, gdzie Drouot rychtował baterje. Robota wrzała tu gorączkowa; artylerzyści z saperami w murowanych parkanach, okalających dymem spowite pogorzeliiska domów Arcis od strony Torcy, — wybijali strzelnice, ziemią podsypywali mury, na pasach wlekli spiżowe kadłuby przez niedostępne dla koni przejścia. Drouot z oficerami nastawiał cele, wyliczał pochylenie paszcz, a lunetą mierzył dal.

Napoleon zlustrował doskonale roboty i zauważył kwaśno:

— Jeszcze pół godziny!

— Conajmniej, *sire!* Chociaż... ośmioma można zacząć!

— Ani się waż!... Patrz, i tak macają!...

Świst kuli, przelatującej w pobliżu, wywołał poruszenie między saperami i artylerzystami.

— Hej, wy, dzieciaki. Nie myśleć o głupstwach!

— *Vive l'empereur!* — huknęli żołnierze.

— Cóż, Drouot, wcale dobrze tu będzie?!

— Niezawodnie, *sire*, jeżeli tylko będziemy mieli kawalerję do asekuracji!...

— Niema jej za wiele! Oganiaj się w razie ataku krzyżowym ogniem! Montmorency! Ruszaj do księcia Berthier! Niech przyśle dwa szwadrony gidów jenerałowi Drouot, pod przewodem Paca!

Napoleon uśmiechnął się do Drouota.

— Wystarczy ci!?

— Musi!

— Byłem tego pewny! Schwarzenberg wiwatuje nie na żarty! Sokolnicki! Czegóż się tak marszczysz?! Widzisz jaka pozycja!...

Jenerał adjutant wskazał ręką ku prawej stronie.

— Ten dym... te zgliszczą...

— Więc co?! — przerwał niecierpliwie cesarz: — świadczą nam przysługę! Schwarzenberg weźmie dobre cięgi, zanim rozezna skąd kule miotają!

— Nie to chciałem powiedzieć, *sire!* Za nami mamy palące się miasto, za miastem rzekę... i most podminowany...

— Cóż z tego!

— Jest to pozycja, jak pod Lipskiem!

— Przyznam ci, jenerale, słuszność, jeżeli mi wskażesz jeszcze zdradzających Sasów!

Sokolnicki zmilczał. Napoleon spojrział ku twarzom stojących za nim sztabowców, jakby szukając na nich potwierdzenia dla swych słów, lecz sztabowcy mieli jednakową zmarszczkę prostopadłą między brwiami, to samo zacięcie ostre ust, toż samo spojrzenie suche, nieruchome, bezbarwne.

Cesarz odwrócił głowę. Tym razem wzrok jego padł na skuloną postać mężczyzny, siedzącego na krawędzi opalonego muru, pośród dymiących żużli i dogasających głowni.

— Cóż to za biedak!?

Drouot zbliżył się ku mężczyźnie:

— Co tu robisz? Nie dla takich tu miejsc!...

Mężczyzna poruszył się ociężale.

— Za pozwoleniem: czy nie wolno mi wyglądać oknem!?

— Jakiem oknem! Wyprowadzić go stamtąd!

— Ależ przepraszam pana, jestem przecież u siebie!... Tu jest moja sypialnia, a tu właściwie nie panów, ale mój ogród!

— Szalony! — mruknął Drouot.

Mężczyzna tymczasem na widok podchodzących ku niemu żołnierzy, potarł czoło i roześmiał się:

— Cha, cha! Wiem o co wam idzie!... *Vive l'empereur!*

Armaty austriackie grały coraz zajadlej, wyrzucając chmury granatów i kartaczy. Lecz były to jeszcze pierwsze akordy, pierwsze wyzwania, pozbawione dokładnych celów pociski, pierwsze słowa Schwarzenberga, a raczej sygnały dla jego własnych szeregów, sygnały dla trąbek i bębnow.

Jakoż razem z obłoczkami granatów, na wzgórzach Mesnil błysnęły w słońcu stalowe grzebienie bagnetów i jęły spływać szerokimi prostokątami, a rozlewać się coraz szerzej, coraz groźniej, zajmu-

jąc wielki półokrąg od Auby, przez Ortillon, aż do miejsca, gdzie na lewym skrzydle wojsk sprzymierzonych, wysuwały się z mgły horyzontu kwadraty równie zwarte, równie błyszczące łuską stalową, lecz rozwijające się prędzej, wyłaniające się szybciej.

I półokrąg ten zacieśniał się, zwierzał w swoim czarnem paśmie, pozostawiając za sobą we mgłach ginące dopływy. Armja pokryła w końcu całą dal równiny tak szczelnie, że gdyby nie rosnące w oczach pierwsze szeregi, gdyby nie zbliżający się łomot bębnow, chrapanie trąbek i syk fajfrów, zdawałoby się, że masy te to ciemń opoki.

Arcis tymczasem milczało — wysunawszy ku lewemu skrzydłu mas dwie dywizje kawalerji Sebastianiego i wyrzucając ku Torcy resztki piechoty.

Naraz armaty Schwarzenberga umilkły, i nastąpiła długa chwila śmiertelnej ciszy, wśród której słyhać było jakiś miarowy szmer, jakby oddech, jakby uderzenia serc, jakby sapanie tysięcogłowego potwora.

Wreszcie, poza wzgórzem rozległ się trzask wyrzuconej rakiety, a tuż za nim salwa stu pięćdziesięciu dział.

Schwarzenberg zaczynał atak. Atak szalony, zajadły, wściekły, ufny w swoją poczwórną przewagę, mający armję Bonapartego jeżeli nie zgnieść, nie poszarpać, to bodaj mrowiem ciał zadławić.

Wrede prowadził prawe skrzydło, księżę Württemberg, Giulay i Kajzarow lewe skrzydło i środek.

Wrede ruszył pierwszy. Czterdzieści armat artylerji konnej zatoczył ku Grand-Torcy i ją wtórować działom pozycyjnym, atakować gradem pocisków a jednocześnie trzema dywizjami piechoty następując tak, żeby wieś nietylko z przodu zasypać, lecz jednocześnie odciąć ją od Arcis. A w Grande-Torcy był Ney.

Ney milczał. Wrede dwa pułki strzelców wysunął i kazał im nasadzić bagnety. Pułki dźwignęły się i przystały.

Ney warował a wytrzymał. Wrede zaś, wysławszy dwa pułki grenadjerów nad Aubę, dał sygnał do rotowego ognia.

Torcy, smagane kulami artylerji konnej, darte granatami ledwie dymem wszczynającego się pożaru odpowiadało, a na nieszkodliwy rotowy ogień nawet wcale nie zwracało uwagi.

Wrede skinął na adjutantów. Bębny zawarczały na atak. Pułki zakołysały się i sunęły drogą w samo serce Torcy — lecz w tejże samej chwili Ney rzygnął baterją polową, rozkraczoną pod wsią, wyżarł w strzelcach brózdę i osadził ich. Strzelcy zawahali się, lecz, poderwani komendą, rzucili się naprzód. Ney znów sypnął kartaczami, mieszając je z ołowiem najbliższego bataljonu. Udar był śmiertelny, strzelcy się rozpadli. Lecz za nimi już

następował drugi pułk strzelców, wlokąc za sobą dwie armaty... Jedną Ney zdemontował, nim zdążyła wystrzelić, lecz druga zdemontowała z kolei dwie Neyowi, a nadto utorowała dostęp strzelcom śród prowizorycznego szańca z przewróconych wozów. Marszałek atoli zdwoił ogień karabinowy i drugi pułk zdołał zdziesiątkować.

Wrede zębami zgrzytnął. Bębny warknęły na atak.

Jenerał Thielmann wiódł Sasów. Woltyżery rozsypali się w tyraljerkę, grenadjerzy rozpoczęli ogień od strony Auby. Sasi, mimo krwawego ubytku, zwarli się z piechotą Neya.

Ney bronił się zajadle. Sam stał na czele, sam dowodził, sam następował. Sasi topnieli w oczach, ale napierani z tyłu przez świeże pułki, szli naoslep. Szczupłość miejsca nie pozwalała marszałkowi ani świeżego wprowadzić żołnierza, ani całej swej siły rozwinąć. Nadomiar grenadjerzy, z lewej strony wsi, znaleźli wolny przestwór i uczynili w kolumnie wyrwę...

Ney ryknął z wściekłości.

— Adjutant! Gdzie adjutant? Do milion djabłów! Adjutant do mnie! Co!? Boisz się tych szczy-pawek!... Kawalerji potrzebuję!... Słyszysz!...

Adjutant skinął twierdząco głową i ruszył z kopyta.

Ney rzucił się znów na czoło kolumny, gdzie stał jenerał Rebeval.

— Wytrzymasz pan długo!?

— Najdłużej kwadrans!

— Miljon djabłów, lecz bez trzech ataków na bagnety ani kroku w tył! Trzeci ja prowadzę!

Ney zwrócił się na tyły, aby zarządzić ruch przeciwko grenadjerom.

Marszałek z trudnością przeciskał się przez szeregi, które skupiły się tem mocniej, że z domów wsi ogień już buchać zaczynał.

Ney niecierpliwił się.

— Z drogi! Boisz się, żebyś sobie palca nie oparzył! Na bok, drabie!... A, to pułkownik!? Jakże się pan do miljon djabłów nazywasz!?

— Siemiątkowski! do miljon djabłów, ekscelencjo!

— Uciałbyś sobie ten początek, a zostawił *ski!*

— Wolę dłuższe, bo mi się trzech Neyów mieści!

— Całuj psa w nos! Patrz, pędzą nas!... Dźwigniesz swój bataljon na lewo!?

— Plutonami?

— Miljon djabłów!

— Mam myśl, ekscelencjo!

— Myśl! Jeżeli krótka, to wrzeszcz do ucha, bo Schwarzenberg Wagram chce udawać! Bydlę!

— Ekscelencjo, puszczę bataljon na dachy!... Korpus niech się cofnie, nastrzelamy jak wróbli!

— Pożar!... Czy wytrzymasz?

— Zdychać, to zdychać!...

— Miljon djabłów!... Marsz!...

Bataljon Siemiątkowskiego rozpadł się, złamał i jał sunąć bokami a wdzierać się do domów. Piechota jenerała Meuniera, stojąca w pobliżu, wybuchnęła wesołemi okrzykami:

— Hej, „pane!“ „pane!“ Dokąd się drapiecie! Chciecie się usmażyć!... O, liznęło go!... Parzy!

— *Retraite!* — rozległ się chrapliwy głos komendy od Arcis. Bębny z trąbkami wybijać zaczęły ponury takt. Ney ustępował.

Sasi z Austryjaki i Bawarami, których nadesłał do pomocy Wrede, widząc cofanie się Francuzów, nacierali zapalczywiej. Piechota Ney a cofała się bez pośpiechu, cofała się aż do miejsca, gdzie, dzięki szerokiemu placowi pośród wsi, czołowy pułk Rebevala zastąpił nowy pułk grenadjerów młodej gwardji, dywizji Meuniera.

Tu sygnały zagrały szturm. Młoda gwardja uderzyła dzielnie, lecz nieprzyjaciel cały opuszczony rękaw drogi wypełnił już tak gęsto, że, aby go wyprzeć, trzeba było na miazgę go zamieścić.

Sasi ugięli się z początku, lecz widząc niepodobieństwo odwrotu, bronili się rozpaczliwie.

Naraz ponad głowami Bawarczyków rozległ się wystrzał, a w ślad za nim z dachów pałacych

się domów jął spadać na piechotę Wredego śmiertelny ogień tyraljerski.

Bawarczyacy, a za nimi grenadjerzy austriaccy i Sasi w szalonym popłochu jęli uchodzić, mieszać się i tłoczyć następujące rezerwy.

Ney pochylić kazał bagnety. Młoda gwardja natarła z furją.

Torcy było uratowane.

Wrede trząsł się, wygrażał Radetzkiemu, że go oskarży za zmarnowanie czterech pułków, a jednocześnie kazał tem gwałtowniej sypać kartaczami i nowe kolumny wyprowadzać.

Ney zaś, zabezpieczywszy się mocniejszym obsadzeniem frontu i boków Torcy, a zostawiwszy na straży jenerała Meuniera, sam odjechał na tyły, kędy stały bataljony, wypoczywające po pierwszym ataku, a pośpieszny zaprowadzające ład.

— Podrapali was, co?...

— Sito, ekscelencjo!

— Ubytek!? Miljon djabłów — ubytek musi być!... Stawaliście dobrze!... Pan co jesteś?... Bo do pioruna okopciło cię, że ani rozpoznać!...

— Szef bataljonu!

— Pewnie „ski“?!...

— Skrzynecki, ekscelencjo!...

— Formuj-że się tutaj!... A nadciąga jeszcze ten „ski“!... Hej! Pułkowniku!... Do milion djabłów!... Do lazaretu!... Na tyły, na tyły prowa-

dzić!... Masz ubytek!... Nie mówisz!? Kto ze starszeństwa!?

— Szef bataljonu, Muchowski!...

— Złożysz raport o swoim dowódcy!... Kusy bataljon!?

— Ze sześćdziesięciu zostało!...

— Miljon djabłów!... Hej, panie „ski“, obejmujesz dowództwo, bo tego pana pierwszy raz widz! Zresztą nie dlatego — ale obejmujesz ty i koniec!

— Według rozkazu, ekscelencjo! — odparł rażno Skrzynecki.

— Ale, bo ja pana skądś znam!

— Miałem zaszczyt być z ekscelencją w Kownie!

— Pluń na ten zaszczyt! Masz twarde kości! Nic — bierz komendę — lataj plutony, krop gorzałkę i czekaj... Adjutanta! Gdzie adjutant — chorooba!?!...

Ney zaklął siarczyście i, spiąwszy konia ostrogami, zniknął w odmęcie dymu, ognia, ołowiu i spizu.

Skrzynecki po oddaleniu się Neya uściskał rękę Muchowskiego i jął razem z nim i kapitanem Brandem formować bataljony, nowe tworzyć i rozdać kompanje, nowe ustanawiać plutony.

Nielada to było zadanie, bo bataljony te nie miały w samym rdzeniu swoim żadnej podstawy,

żadnego jądra, któreby stanowiło ich treść, któreby było owym szkieletem, utrzymującym stare pułki, skupiającym nowe siły pod wysłużonym sztandarem.

Bataljony te nie nazywały się ani legją, ani nie znaczyły ich numery, ani nazwiska pułkowników, ani przydomki żadne, ani zawołania, wzięte z okolic, gdzie się formowały, ani szczególniejsze kolory mundurów, ani barwy wypustek.

Bataljony te nie miały żadnego doboru ludzi, odpowiadającego mierze wojskowej, nie miały ani stałej brygady, ani dywizji, z którejby ich za lada okazją nie wyrzucano, ani koszar, gdzieby zarząd pułkowy kwaterował, ani lazaretów, ani furgonów.

Bataljony te miały mglistą historję. Początek wzięły z rozbitków lipskich, przygarniętych przez szpitale w Sedane, wzmocniły je gromady rannych z pod Hanau, jacyś nędzarze, wracający z Hiszpanji, uciekinierzy z wojska angielskiego, oficerowie, nie mający ani patentów, ani list służbowych, marderzy, idący nie wiadomo skąd, szeregowcy z rozbitych pułków, żołnierze, którzy nie zdołali oddziałów swoich odnaleźć.

Bataljony te w szeregach swoich miały i dragonów, i huzarów, i grenadjerów szkockich, i ułanów, i kirasjerów bawarskich, i woltyżerów włoskich, i artylerzystów, i puszkarzy, i marynarzy,

i saperów, i rekrutów, płacących krwią za naukę.

Jedną tylko te bataljony miały uderzającą cechę, jedno piętno, jeden wspólny wyraz — bataljony te milczały. Milczały na biwakach, milczały w ogniu bojowym, milczały po pogromie, milczały po zwycięstwie, w milczeniu umierały, ginęły.

Bataljony te w wykazach armji nazywano *polonais*. — W rozrachunku sztabu mówiono zwykle dwa, jeden, trzy bataljony *polonais*, lub, co najczęściej, zaciągnano je do której dywizji. Więc bataljony te jednego dnia miały nazwę Meunier, drugiego dnia Rebeval, trzeciego Gérard, potem Desnouettes, Drouot, Friant lub ktoś inny. Z godziny na godzinę bataljony te zmieniały jenerałów i marszałków, a razem z nimi i miano. Wprawdzie i z tych bataljonów wśród huk armat dobywało się jakieś nazwisko, lecz tak skażone, tak przekręcone, że niekiedy już w sztabie dowódcy dywizji ginęło razem z uśmiechami kancelistów.

Bataljonów zresztą tych cesarz jakby unikał, a jeżeli przypadek zrządał, że na swej drodze spotykał taki bataljon, chmurzył się i spinał konia ostrogami. Bataljony te bowiem zamiast obojętnego zawołania armji: *Vive l'empereur!* miały swoje. *Niech żyje cesarz!* a takie ponure, takie głuche, takie tępe w echu, takim zakończone zgrzytem, jakby nie radować się chciały, lecz kłąć.

Skrzynecki z Muchowskim i Brandem sprawili

się szybko. Warknęło kilku wiarusów na nowe porządki, któryś z żołnierzy omdlał, niektórych trzeba było znów usunąć dla krwawiących silnie ran, lecz w końcu bataljony odetchnęły łzej — odmłodniały, otrząsnęły pył, opatrzyły zamki, wypełniły dowiezionemi im nabojami ładownice, odwilżyły spieczone usta wodą z kałuży, na karabinach się wsparły i zastygły tak pośród łomotu armat a świstu kul.

Skrzynecki, objechawszy pokilkakroć swój oddział, stanął przed frontem, zsiadł z konia i jął gawędzić z Muchowskim. Wkrótce do rozmawiających przyłączył się i Brand, a po chwili z trzeciego szeregu wystąpił wysoki, chudy żołnierz z szewronami sierżanta na płaszczu.

Skrzynecki spojrział na przybyłego surowo:

— Acan, na miejsce!

Sierżant machnął lekceważąco ręką.

— Nic, pułkowniku, sierżant Dudziński! Za kapitana jestem! Nie ma pan pułkownik tabaki?

Muchowski mrugnął znacząco na Skrzyneckiego.

— Czekaj, stary! A fajkę masz!?!...

— Pewnie! Kubikowa! Kapitan Kubik przez całą hiszpańską kampanję w gębie ją trzymał! Traściło go, więc mu ją wziąłem! Ma on teraz pewnie lepszy statek!

— Naści! Byłeś pod Chłopickim!

— Bóg zapłać! Co nie miałem być!... Hukają... Tfy!...

Sierżant powlókł się na swoje miejsce do szeregu. Skrzynecki spojrział ku Torcy.

— Marszałek się trzyma!

— Nie wiadomo!... Ale patrz, kolego, tu, ku Arcis!... Co się dzieje!... Szarża!... Uderzyli!... Kłębą się!... Uderzają znów!... Nic nie rozumiem!...

— Bierz lichy, ślepie mam!... Dajcie, wsiądę na koń!... Ku nam pędzą, najwyraźniej ku nam... Bacność! Formuj się!...

Bataljony drgnęły, ścisnęły kolumny i czekały. Skrzynecki wzrok wyteżał, starał się rozpoznać, co się dzieje, gdy ze wzgórza taki potok granatów lunął na odgradzającą go od Arcis równinę, że nie rozpoznać nie pozwolił. Skrzynecki z doświadczenia bojowego rozróżniał tylko niechybne oznaki klęski.

Na prawem skrzydle francuskim zaszły istotnie wypadki niespodziewane.

Oto, zanim jeszcze Drouot narychtował baterie, generał Kajzarow z księciem Würtemberskim zdołali rozwinąć pięciotysięczną jazdę. Dywizje Exelmans i Colbert pod Sebastianim zniosły mężnie pierwsze natarcie. Lecz Kajzarow nie ustawał, za pierwszym przypuścił drugie, trzecie i czwarte.

Napoleon, który sam czuwał w tem miejscu, ściągnął wszystkie szwadrony gwardji i zatoczył

cztery baterje armat, śląc do Frianta, za Aubę, żeby pośpieszał z piechotą. Friant się spóźniał. Kajzarow parł.

Colbert powiódł swoich dragonów do szarży, lecz ci, wobec wziętego półkola masy nieprzyjacielskiej, ustępowali.

— Dragoni! Wy uciekacie? za mną!...

— *Vive l'empereur!* — krzyknęli żołnierze i runęli za cesarzem.

Sztab rzucił się za Napoleonem i ledwie wyrąbać zdołał go z pośród kozaków.

Szarża nareszcie się powiodła, bo zatrzymała na chwilę księcia Würtemburskiego i Kajzarowa, lecz, po krótkim wytchnieniu, do tem śmielszego zachęciła ich ataku.

Bonaparte, w braku piechoty do osłony armat, spieszał gwardję i obstawiał nią gotowe do strzału baterje.

Exelmans ruszył ze strzelcami do nowej szarży. Strzelcy poszli dzielnie, w chwili jednak, gdy wpaść mieli na kozaków, wysunął się przeciw nim pułk huzarów badeńskich, zmiotł ich za pierwszym uderzeniem i rzucił na wypoczywające szwadrony Colberta.

Huzarzy w oka mgnieniu zbili się z dragonami i strzelcami w jedną bezładną masę. Dragoni i strzelcy bronili się zajadle, lecz na pomoc huzarom wystąpili kirasjerzy würtemburscy i dragoni

austrjacy. Kozacy zaś, zataczając wielki łuk, parli wprost ku armatom.

Napoleonowi lada chwila groziło otoczenie. Bonaparte mimo to chciał szukać schronienia pod armatami. Lecz Dejean, mający dowództwo baterji, widząc klęskę, bez wahania dał ognia, nie bacząc, że Francuzów razi. Grad kul wzmógł jeszcze zamieszanie. Kawalerja zamieniła się w jedno wielkie, tarzające się a miażdżące się i plużące krwią ciało.

Napoleon zdarł konia i rzucił się ku Torcy, pod grad kul nieprzyjacielskich i zabójczych pocisków Drouota, który już także zaczął grać pełnemi baterjami. Dragoni austrjacy poznali tymczasem Bonapartego i szli za nim zwartą gromadą, pociągając za sobą całe pułki kawalerji i przenosząc ciężar natarcia na tyły pozycji Ney'a.

Napoleon pędził, co koń wyskoczy, otoczony już ledwie pięciu oficerami sztabu; pędził, nie mogąc zorjentować się wśród piekielnego dymu, łomotu i wrzasku galopujących nieprzyjaciół, gdzie znajdzie ostoję. Nagle jeden z adjutantów huknął za nim:

— *Sire!* Na lewo nasza piechota!

Cesarz zwrócił się wprost ku stojącym dwom bataljonom. Bataljony, na widok cesarza, zakołysały się, a ofuknięte surowem wezwaniem: „Baczność“ — zapadły w bezruch.

Napoleon osadził konia przed frontem, zmierzyl przężącego się przed nim Skrzyneckiego i zawołał do przerażonych nadbiegającą kawalerją sztabowców:

— Tu jestem bezpieczny, bo między Polakami!

Potem wjechał w środek bataljonów.

Bataljony przez chwilę stały oniemiale, jakby w ziemię wrosły, skamieniałe.

Naraz Skrzyneckiemu twarz rozgorzała, oczy jego sypnęły skrami, a głos młodego szefa rozległ się, jak grom mocny, i wskroś przejął żołnierzy, bębny napełnił zajadłym dygotem, trąbki napełnił czystością dźwięków i jał bataljony łamać, zwijać szeregi, rozsuwać, odwracać fronty, a budować mury bagnetów, żywy wał stawiać, redutę z otwartych piersi, pancierz, czworobok...

Aż czworobok stanął!

Skrzynecki zatoczył koniem dokoła czworoboku i huknął groźnie:

— Tu będziemy zdychali! Słyszycie!?!...

Czworobok poruszył się i odpowiedział niby stutysięczne echo górskie:

— Będziemy zdychali! Niech żyje cesarz!

Skrzynecki zeskoczył z konia, wyrwał karabin najbliższemu żołnierzowi i stanął w szeregu, mając za sobą sygnalistów.

Tymczasem chmara jazdy nieprzyjacielskiej,



Legja Nadwiślańska idąca do ataku.

Szych Raffeta.

która się była zatrzymała na widok piechoty, zachęcona komendą, debuszowała pod armatami Drouota ku czworobokowi.

Czworobok stał z bronią do nogi, dopuszczając jazdę do siebie na kilkaset kroków, aż wreszcie plunął ołowiem po koniach. Kawalerja cofnęła się nieco, a szerszą rozwinąwszy wstęgę, natarła z trzech stron: czworobok powitał ją trzema pasmami ognia.

Württemberg się zawziął. Wrede dostrzegł przez lunetę Napoleona!...

Czworobok był skazany na śmierć.

Dwie baterje armat wymierzono ku niemu, dwa pułki gwardji austriackiej rzucono na brzeg Auby, poza pozycją Neyą, dywizję kirasjerów gotował Württemberg.

Nastała chwila ciszy na stanowiskach austriackich, walka z Neyem nawet osłabła.

Czworobok stał i czekał znów z bronią do nogi.

Czekał niedługo; granaty rozpryskiwać zaczęły swoje skorupy, a w konwulsyjnych rykoszetach wpadać między szeregi i rwać je, a krwią zalewać.

Czworobok kurczył się, zwierzał plutony i stał.

Napoleon zsiadł z konia i, założywszy ręce, pooglądał przez ruchomy wał ludzi. Naraz granat padł tuż u nóg cesarza i jął kotłować się, dymić a syzczeć, jakby gotując się do wybuchu.

Dwunastoletni dobosz pochylił się odruchowo.

Cesarz roześmiał się.

— Boisz się? Niema czego!

Dobosz spojrział pytająco na cesarza, poczem skoczył ku granatowi, podniósł go i połą płaszcz lont dopalający się zagaszył.

Cesarz chciał zagadnąć o coś malca, gdy wtem rozległa się komenda Skrzyneckiego. Bębny jęły wybijać pobudkę.

Dywizja kirasjerów następowała, białe mundury gwardji sły zwartemi kolumnami od Auby.

Czworobok!

Podniósł broń do oka, zmierzył i wstęgą ołowiu się okrył.

Gwardja idzie z pochylonemi bagnetami, kirasjerzy mierzą przestrzeń do rozpędu.

Czworobok szarpnął zębami ładunki, zadzwonił stemplami, zmierzył, a wstęgą ołowiu się okrył.

Gwardja runęła, ziemia jęczy, a drży od tupotu końskiego.

Czworobok stoi, wyrzucił z siebie dwa ciała bezwładne, dwa serca zastygłe, dwa karabiny zbyteczne i rwie zębami ładunki, dzwoni stemplami i pali. Cel bliski!

— Na bagnety! — huczy głos Skrzyneckiego.

— Na bagnety! — wtóruje Muchowski.

— Zdychać! — ryczy sierżant Dudziński.

Czworobok odpowiada łomotem na łomot

dwóch walących w niego mas, dwóch hydr, dwóch rozszalałych tłumów ludzi i koni.

Kirasjerzy lada chwila mają runąć do środka, konie ich sadzą prawie ponad bagnetami, szeregi czworoboku giną tu wobec tych olbrzymów koni, wobec tych olbrzymów ludzi. Grenadjerzy następują z impetem, całym ciężarem kolumny prą. I tu czworobok już chwieje się, grozi rozerwaniem.

Naraz, niby dwie ciężki łuku, napięte za mocno, tak ściany czworoboku wyrrywają się, i prężą, i wałami trupów znaczą miejsca walki i cofających się w pomieszaniu ścigają znów ołowiem.

Dwie godziny stał czworobok, dwie godziny odbierał wszystkie pociski, wymierzone za Arcôle, za Jenę, za Austerlitz, za Friedland, za Wagram! Dwie godziny wytrzymał atak za atakiem, zalewał się krwią, bluzgał mózgiem. Dwie godziny rwał ładunki, podtulał pod rozpalone lufy rękawy płaszczy, omdlewał, kołysał się, chwiał i znów jakąś siłą tajemniczą się wypełniał. Dwie godziny grodził dokoła siebie zawały trupów, dwie godziny łamał szturm po szturmie, dwie godziny padał, konał.

Czworobok nikił w oczach i chwilami stygł, kostniał...

Aż nieprzyjacieli znów natarł.

Czworobok jęknął, zaparł się plecami i bronił się bagnetami, bronił kolbami, dragońskimi pała-

szami, bronił pięściami, uchwytem żylastych rąk, poczeriałemi od ładunków zębami.

- Zdychać! — ryczał Skrzynecki.
- Stać, niedołęgi! — strofował Muchowski.
- Cesarz między nami!
- Niech żyje cesarz!

Czworobok zatoczył się, wpił w następujące szeregi i targnął niemi.

Nieprzyjaciel uchodzi. Czworobok dyszy ostatkiem sił.

Od strony Arcis słychać łoskot bębnow. Sześć tysięcy starej gwardji Frianta rzuca się ku swojemu cesarzowi i unosi go...

Czworobok na tem miejscu, gdzie stał, gdzie walczył, gdzie zniósł piekielne natarcia, gdzie stokroć większej oparł się sile, wali się w gruzy, nurza się we własnej krwi i już milczy znów, niczego nie żąda, niczego się nie spodziewa.

.

Napoleon był w humorze. Marszałkowie i jenerałowie dawali skwapliwe wyjaśnienia.

Cesarz chwalił postawę wojska. Kazał sobie wymieniać odznaczonych, rozdawał obficie awanse, a kreślił plany dalszej kampanji.

Ney, który nie brał udziału w rozmowie, wysunął się nagle przed cesarza.

— *Sire!* Zapomnałeś o bataljonach polskich!

— Nie — dwadzieścia krzyży!

Ney głowę zwiesił.

— Prawda, że dla nich nic innego nie masz i nie miałeś!

Barcelona, w kwietniu, 1903.

P O T O C K I

1809

Tam, pod olszyną, stały austriackie armaty i bu-
rzyły i darty na strzepy dopalające się pogorze-
liska Falent.

Żołnierz polski nie nacierał, nie atakował, lecz
cofał się, odpierał, ciałami swemi grodził drogę za-
stępom austriackim.

Bój wrzał już na grobli, bój śmiertelny. Ponia-
towski z Sokolnickim stali w szeregu — w szeregu
dziwnym, bezładnym a jednak rozpaczliwie kar-
nym, wytrwałym...

Oddział, który bronił grobli nie był ani puł-
kiem, ani bataljonem, ani szwadronem. Zamęt mor-
dycznej walki skotłował plutony rozmaitej broni,
pomieszał mundury, dał przygodnym kompanjom
przygodnych oficerów. Lecz tu żołnierz zabłąkać
się nie mógł, tu już nie pomogłyby ani zwroty, ani
wyrafinowane posunięcia, pole bitwy przestało być
w tem miejscu szachownicą.

Jedna artylerja polska pracowała — tylko ona
nie utraciła swej groźnej odrębności. Artylerja
miała teraz dwa akordy — jeden cichy, chrapliwy,
spazmatyczny — to baterja Sołtyka, wysunięta

ciągle przed rzeczkę, a teraz na szpicy polskiej stojąca — a drugi mocny, odzywający się pod lasem, a ziejący zabójczym ogniem na Mohra — to działa Pelletiera, który choć późny lecz dzielny zgotował wtór armatom austriackim Gileta.

Pelletier się spóźnił, a raczej spóźniły się działa, które gdzieindziej zatoczono na pozycje, które skądinąd spodziewały się ataku, — lecz Pelletier umiał nagrodzić mimowolną opieszałość. Zimny, zastygły w sobie a skupiony, nie pozwolił ani razu ręce kanoniera drgnąć, ani jednego zmarnować naboju, ani razu zbyt pośpiesznie zapału podpalić. Pelletier nie tylko umiał celować, lecz i żądła armat niepostrzeżenie wysuwać. Na głównej swej pozycji udawał najmocniej zajętego ostrzeliwaniem Falent — a tymczasem nakazywał sprzęgać kartaczownice i słał je chyłkiem tuż ponad rzeczkę. Kartaczownice zjawiały się jak widma. Zanim Gilet zdołał je wykryć, one już odprzodkowane zdążyły dać kilka zabójczych strzałów, znów się zaprzędz i pomknąć poza linję celów.

O kilka staj za Pelletierem stał Włodzimierz Potocki, na czele swej kompanji artylerji konnej. Trzy razy już był odebrał rozkaz do marszu na pozycję, i trzy razy, gdy już miał ostrzeliwanie rozpocząć, — cofano go, nakazywano milczenie.

Włodzimierz Potocki z gniewem bezsilnym po-
glądał na piękny swój oddział, na nowiutkie mun-

dury kanonierów, na błyszczące cielska armat, na niezbrukane jeszcze lawety. Dzień i noc zabiegał, byle baterję swoją uformować. Ni trudu, ni pieniędzy nie pożałował. Sam księżę, ba Zajączek, Dąbrowski nawet, nadziwić się nie mogli temu oddziałowi.

Armatki ośmioletowe z jednego wypróbowanego śpiżu odlane, co podobno szwedzkie pamiętały czasy, a przed laty, w dzwonach stężony, całe sioła do modlitwy wzywał a imię Boże przypominał — zdały się być wykrojone pod strychulec. Na każdej ten sam pierścień w pasie, toż samo rozchylenie wylotu, też same herby, a cyfry na panewkach. Lawety mocne dębowe. Koła z jesionu polewanego na rdzeń. Uprzeź surowcowa. Wózki przodowe lekkie, dwukołowe a ładowane ponurą strawą prochu i żelaza. Każdy hak, każde okucie, każda klamra pieszczona w ogniu, hartowana a błyszcząca mówiła i o troskliwej zabiegliwości ludwisarni i o niewinnej chęci przypodobania się właścicielowi baterji, czy może o samego właściciela fantazji.

Sześć koni oprzęgało każdą armatę. Koni ro-
słych, karmnych, w piersiach szerokich, o karkach krótkich, mięsistych, nogach grubych, włochatych, koni rwących jak wicher za lada młaśnięciem dojeżdżaczy, koni młodych, które miały w swem dzi-
kiem a bystrem spojrzeniu coś ze stepu, coś z dumy

pańskiej, coś z krwi arabskiej w łbach małych, suchych i coś ze śpiżu w żyłastych, a prężnych pęcinach.

Armaty baterji Potockiego wywoływały zachwyty, konie dziwiły znawców doborem maści, miary i osobliwością rasy — lecz dopiero obsługa baterji zdumiewała.

Pięćdziesięciu tylko ludzi liczyła kompanja Potockiego, a w tem czterdziestu pięciu młodzieńców smagłych, gibkich, o twarzach kraśnych a ogorzalych, oczach wyrazistych, gorących, czuprynach gęstych, czarnych, czterech poruczników, kapiących od złota, poglądających hardo w dziarsko nasuniętych czapach, wiekiem równych swemu dowódcy-dzieciuchowi. A wśród tej gromady zwartej, tętniącej życiem, tuż za porucznikami, przy pierwszej armacie stał siwowłosy, na poły zgarbiony ogniomistrz — Semen, postrach całego oddziału a niekiedy ostatnia jego instancja. Skąd się wziął Semen, skąd urósł na tę szarżę, skąd do takiej doszedł z panem Potockim konfidencji — nie wiadomo. Semen jeszcze na pierwszym przeglądzie był przedmiotem zaciekawienia nawet samego sztabu — możeby zajęto się nim więcej — gdyby nie to, że cała baterja była nie mniejszą osobliwością.

Włodzimierz Potocki dawno zdeklarował się ufundować kompanję artylerji konnej. Deklarację przyjęto z uznaniem dla szlachetnego zapału i za-

pomniano o niej. Aż tu coś ledwie przed miesiącem zapowiedziany oddział wyrósł niby z pod ziemi — a wyrósł tak, że ani mu nic zganić nie było można. Skąd pan Potocki wziął zaciąg, gdzie przygotował mundury, kto mu dał armatki — o tem, według wieści, jeden Semen coś wiedział.

Służba baterji była przyjęta z wdzięcznością, ale i z odcieniem powątpiewania. Żołnierz był sprawny na musztrach, dawał sobie radę na rewjach — lecz sztab obawiał się braku doświadczenia, a Pelletier, komendant artylerji, nigdy kompanji Potockiego nie brał na serjo, — księżę zaś po cichu kazał go oszczędzać.

W pierwszym zamęcie raszyńskim chciano Potockiego użyć — lecz pilnujący artylerji Pelletier, za każdym razem zmieniał ordynanse i inne baterje wysyłał — teraz nawet, kiedy na barki jego spadł cały ciężar powstrzymywania naporu austriackiego, kiedy armaty miały lada chwila osłaniać odwrót — Pelletier jeszcze trzymał Potockiego w odwodzie.

Pan Włodzimierz darł, nadąsany, puszek młodzieńczy pod nosem i co chwila słał poruczników swoich po rozkazy do generała. Pelletier był niewzruszony. Potocki gorączkował się coraz bardziej a dostrzegłszy pędzącego w pobliżu generała Biegańskiego — dopadł go w pełnym galopie, błagając o wstawiennictwo do Pelletiera. Biegański przy-

rzekł solennie, upominając, aby trzymał się w pogotowiu, bo lada chwila może przyjść do rozstrzygającego starcia.

Potocki czekał znów. Nareszcie w dali ujrzał nadjeżdżającego adjutanta — porucznicy dobyli pałasze — konie ujęte krótko, zaryły kopytami. Adjutant stanął przed frontem baterji.

— Panie kapitanie! — zawołał donośnym głosem. — Generał Pelletier kazał ci powiedzieć... że niebawem może nadejść chwila, w której, aby umrzeć, nikt nie będzie potrzebował protekcji... Stać w miejscu!...

Włodzimierzowi Potockiemu łzy w oczach stanęły. Tam inni idą, walczą, patrzą może jak nieprzyjaciel cofa się, łamie, ginie — inni już, okryli się chwałą, zapracowali na nieśmiertelność — podczas gdy on stoi upokorzony. Mają go za wyrostka, za młokosa, za paniątko... a może... za!...

Potocki bał się myśli dokończyć! Nie dalej, jak wczoraj... Godebski powiedział mu wprost!... Czy on jeden!?... Nikt — nikt zgoła tu dlań zachowania nie ma!... Nie wierzą mu...

Młody kapitan zwiesił z goryczą głowę i zadumał się.

Tak rwał się do tych szeregów! Tu chciał krwawą złożyć ofiarę, tu pragnął dowieść, że choć nazwisko wziął z ojca, lecz serce miał z ziemi, tu obiecywał sobie zetrzeć piętno hańby, co już nad jego

unosila się kołyską, tu za bezmiar zbrodni, pragnął zapłacić bezmiarem poświęcenia! I nie dają mu, nie pozwalają!... A przecież jego miejsce powinno być tam, w pierwszych szeregach, gdzie kule padają najgęściej, gdzie stal jest najbliżej, gdzie śmierć ślizga się na ostrzach bagnatów! Nie dają!...

Ból drętwy schwycił wątle piersi Potockiego. Ceglaste wypieki uderzyły mu do twarzy. Zakrzusił się spazmatycznie. Na przyłożonej do ust chustce ukazały się krwawe sople.

— Co wam, bat'ku! Co wam?! — rozległ się drżący głos za plecami kapitana.

— A to ty... Semen!?!...

— Ja bat'ku!... Wam czegoś markotno?!...

— Nic! — odrzekł wymijająco Potocki. — Trzymają nas!

Semen pokiwał głową.

— Pali cię, orliku bat'ko, dokuczają!?!... Nie tobie pod komendą chodzić, nie tobie nakazów patrzeć!...

— Marudzisz stary — służba! — przerwał niechętnie Potocki.

Ogniomistrz brwi krzaczaste nasunął i rzekł z bolesnem zdziwieniem:

— Służba!... W twoich ustach taki wyraz!... Ty na służbie u tych rabów!... Oni przed tobą proch zmiatać powinni! Co oni!?!... Bat'ku!... Sta-

remu przebacz!... Nie na tom cię hołubił, nie na taką dołę! Nie na taką!...

— Zaczynasz swoje! — upomniał Potocki. — Tu nie ród, nie imię — jeno wojskowa eksperjencja stanowi!... A zresztą, gdyby nawet... przyszło znakomitość rodu wypominać, kto wie, jakby wypadło!...

— Bat'ku! — szepnął z wyrzutem Semen. Potocki ściągnął konia.

— Byle raz wyjść na pozycję!... Bodaj my ostatni czekamy?... Przyjdzie i na nas!... Nie poradzą sami!...

— Naszym także pilno!... Jak to brząkają uprzężą!... Tylko mnie staremu niesporo!... Ot, niesporo!...

Ogień tyraljerski od strony polskiej ucichł nagle a wraz z nim jął iść jakiś rozgwar straszny, groźny, rozpaczliwy.

Baterje Pelletiera straciły miarowość strzału i z zajadłą gorączką wyły na prześcigi.

Z ustępujących leniwie dymów na grobli raszyńskiej wychylać się zaczęła zbita masa ludzi i koni, chwiejąca się pod naporem idących do ataku Austrjaków. Masa słaniała się, wyginała, łamała, raz i drugi zdołała się jeszcze wyprężyć — aż, nie mogąc wytrzymać naporu, jęła wypryskiwać za siebie bezkształtne gromady... Okrzyk zgrozy rozdarł powietrze.

Stało się to tak nagle, tak niespodziewanie, że Potocki nie zdążył odpowiedzieć Semenowi — gdyż na grobli już każda sekunda stawała się dla dziejów niewyczerpaną kuźnicą przykładów męstwa, odwagi, poświęcenia, daremnego wysiłku. Sztandary Księstwa Warszawskiego padały, tonęły. Bitwa lada chwila miała zamienić się w pogrom.

Na grobli trwał książę i z garścią ostatnich żołnierzy, którzy ostali się popłochowi — wstrzymywał walących ku Raszynowi nieprzyjaciół, chciał osłonić odwrót, chciał tyle wywalczyć czasu, żeby ustępujący żołnierze zdążyli się sformować. Lecz i na to było już zapóźno. Mohr zawziął się — i, nie szukając innych punktów, łatwiejszych do przełamania, tu walił, tu nie dał Poniatowskiemu wytechnąć, nie dał karabinów nabić, nie dał odwrotu otrąbić.

Książę nie ustępował, spodziewając się lada chwila nadejścia dwóch bataljonów drugiego pułku. I te bataljony nie zaważyłyby na szali zwycięstwa, lecz mogły uchronić od klęski! Bataljonów nie było...

Na prawo od Poniatowskiego — zawziętszy, cięższy bój wiedli, ranny Sokolnicki, kontuzjonowany Sołtyk i omdlewający ze znużenia Biegański — bo bój o armaty, o honor armji, o widome trofea nieprzyjacielskiej przewagi.

Armaty Sołtyka były otoczone piechotą austriacką, która gniotła broniących je kanonierów, i spieszonych ułanów. Rozprawa była tu podwójna, bo i z piechotą Civalarda i z bezdusznym śpiżem. Żołnierz nie tylko ugiął się pod ciężarem wleczonych armat, lecz musiał równocześnie stawić czoło bagnatom. Najzaciętsze zapasy były około naprężonych rzemieni. Austriacy rozumieli ich wartość i wszystkie siły skupiali, aby je rozerwać, rozciąć!...

Sokolnicki z Sołtykiem i Biegańskim zachęcali żołnierzy, sami wyrąbywali dookoła armat tłoczące się szeregi — ale i im wkońcu nie stało sił. Jeden moździerz był już w rękach Civalarda, osmyczony z rzemieni granatnik miał podzielić los moździerza. Sześć pozostałych dział broniło się i wlokło po ciałach ludzkich ku grobli!... Tu jednak następował świeży bataljon piechoty! Obrońcom baterji groziło odcięcie, niewola...

Sokolnicki już miał być zakomenderować do porzucenia armat — gdy ogniomistrz Stecki zawołał doń:

— Panie generale, ja im z jaszczyków pogadam!...

— Co chcesz uczynić? Ani się waż... Rozerwie cię!!...

Stecki wskazał na rozwarty bagnetem brzuch, z którego już trzewia wyglądały.

— Mnie to nie zaszkodzi!!... Byle się odsunęli... idę!...

Zanim Sokolnicki zdołał odpowiedzieć — Stecki upadł na ziemię i jął pełznąć pomiędzy ciżbą walczących ku miejscu, gdzie stał opuszczony moździerz... Droga snąć była daleka, bo Sokolnicki wątpił o obietnicy i, nakazawszy odstąpienie armat, cofał się ku Poniatowskiemu. Austriacy z okrzykiem pełnym zapału wpadli na porzucone działa i zalegli je swemi ciałami. Lecz w tejże chwili huk przeraźliwy wstrząsnął powietrzem. Snop ziemi wzbil się i spadł razem z deszczem ołowiu na piechotę Civalarda, szarpiąc ją i rwąc na kawały...

Sokolnicki umiał skorzystać z popłochu, rzucił się z powrotem do armat. Żołnierze ujeli za koła wespół z dowódcami... Baterja była ocalona. Triumf był krótki. Civalard stanął sam na czele spłoszonych szeregów — za Civalardem ukazali się grenadjerowie gwardji, prowadzeni przez samego arcyksięcia... Austriacy ścisnęli szeregi i wpadli na groblę tuż prawie za armatami... Kula zerwała ułańską czapę z głowy Poniatowskiego...

— Księżę zabity!... Zabity! — gruchnęły złowieszcze głosy w polskich szeregach i w oka mgnieniu wypadły wraz z uciekającymi na tyły... i szły ku Pelletierowi, biegły wzdłuż frontu bojowego i parły ku Warszawie.

— Księżę zabity!

Te dwa wyrazy mrozem przejmowały serca, wytrącały oręż z ręki. Te dwa wyrazy uderzyły w Fiszera.

Szef sztabu zdawał się ich nie słyszeć. Jednym rzutem oka ocenił niebezpieczeństwo i, wyrwawszy się pilnującym go ułanom, stanął przed kompanją Potockiego.

— Baczość! Na groblę! Zagrozić im drogę! — Pluj ile ci żelaza starczy!...

Potocki zwrócił się ku baterji i miał ostatnie dać zawołanie sygnalistom — gdy wtem złom granatu uderzył w dojeżdżacza pierwszej armaty, zerwał go z konia i krwią zalał. Koń jął się spinać. Potockiemu oczy zaiskrzyły się od gorączki. Bez wahania zeskoczył ze swego wierzchowca, dopadł pociągowego, zawisł mu u szyi, wdarł się na siodło i dobył szabli.

Trąbki zagrały. Potocki obejrzał się po siedzących za nim w drugiej i trzeciej parze koni dojeżdżaczach i ruszył.

Baty gwizdnęły po grzbietach, konie szarpnęły i baterja pomknęła w szalonym pędzie ku grobli.

Ludzie i konie, armaty i jaszczyki jakby w jedno zlały się ciało, w jedną duszę. Baterja zdawała się być wielkim potworem, zgrzytającym łańcuchami, dudniącym złowrogo, tratującym przed sobą wszystko — potworem, którego głową była

armata, dojeżdżana przez Potockiego — ogonem zwarty szereg luzaków.

Konie szły jak wiatr, brzuchami głaskały murawę a zakręcały cielskami armat tak lekko, tak swobodnie, jakby ciągnęły za sobą próżne wasagi, które dość im było raz z miejsca szarpnąć, by już toczyły się kornie. Tylko głuche warczenie kół, tylko brózdry ryte przez nie, tylko naprężone szleje, ku ziemi pochylone łby końskie, mówiły o wielkości rozpędzonego ciężaru.

Baterja jak piorun wpadła na groblę, roztrąciła ostatnie szeregi Poniatowskiego, pod gradem witaających ją kul austriackich zatoczyła kadłuby, podniosła paszce i zagrała.

Civalard chciał szturmem wziąć armaty — na próżno. Potocki miótł przed sobą wszystko, sypał kartaczami, rwał, dziesiątkował, a kiedy mu z boków atak gotowano, cofał się — cofał się wolno, a za każde drgnięcie kół armatnich, za każdą stopę ziemi zbierał tak krwawą zapłatę, że zanim Mohr zdołał poruszyć Gileta, zanim grenadjerzy cesarscy dorwali się do grobli, a piechota linjowa pękami faszyny mościć zaczęła przeprawę przez rzekę, za Potockim stał już wybudowany rozpaczliwemi rozkazami nowy front armji polskiej, za Potockim ubezwładniony Polentz rychtował działa, za Potockim stała w odwodzie ściągnięta z flanków kawalerja.

R A P O R T

1812

Ledwie słońce zdołało się wzbicć ponad lasy i pola Borodina, ledwie pierwsze jego promienie wskos przejrzały dymy armatnie dwóch zmagających się armij, ledwie pierwsze zawały trupów le-gły w trzecim dniu mołajskiej rozprawy, ledwie wice-król włoski na lewem skrzydle francuskim wysunął pod redutę, ku Bachmetiewowi, żądła bagnetów dywizji Delzonsa, hen, na skraju prawym wielkiej armji, głusza zaległa, głusza śmier-telna, raptowna, niespodziewana.

Zdumiały się sztaby marszałków, książąt, kró-lów. Sztab cesarski, w cieniu gwardji stojący, drgnął, zaszemrał. Cesarz podniósł do oka lunetę, lecz snąć luneta podręczna była tu bezsilna, bo od-wrócił się i skinął na oficera ordynansu. Podano ce-sarzowi drugą lunetę, niezawodną, wypróbowaną na równinach Austerlitzu i Wagramu. Strzelec gwardji wysunął się przed cesarzem, wyprostował się, zasalutował, odwrócił i tak skamieniał. Napo-leon położył lunetę na ramieniu żołnierza, rozsunał ją i wpił wzrok w dal prawego skrzydła.

Daremnie. Działa korpusu Junota kłębami sza-

rych woalów zasnuwały przestwór, spowijały go, zlewały w jeden kotłujący się odmet.

Bonaparte brwi ściągnął.

Wszakże tam, na skraju prawego skrzydła, za pierwszym strzałem, wzywającym do boju, sto dwadzieścia armat ryknęło kornie, wszakże stamtąd właśnie iść miał pierwszy ton piekielnego huk, który stopniowo miał biec linią Junot, Davoust, Ney, Eugenjusz! Wszakże w nocy jeszcze generał adjutant cesarski zawiózł rozkazy piątemu korpusowi, — dlaczego więc korpus ten zamilkł tak szybko, dlaczego w akordzie miarowego łomotu już go zabrakło, zanim akord zabrzmiał pełnią tonów...

Cesarz odwrócił się. Szelest przebiegł sztab cesarski.

— *Sokolniki!* — mruknął niecierpliwie Bonaparte.

Generał adjutant wysunął się ku cesarzowi.

— Byłeś sam, jak mówiłem, u Poniatowskiego?

— Byłem — *sire!*

— I powtórzyłeś mu słowo w słowo rozkazy?

— Powtórzyłem — *sire!*

— No i cóż on!?! Sebastianiego mu dałem!

— Najjaśniejszy panie, zapewne...

Bonaparte szarpnął się.

— Dostyc! Monthion! Dwóch ordynansów do piątego korpusu!!

Cesarz znów lunetę oparł na ramieniu żołnierza.

Sokolnicki cofnął się błądliwie ku mundurom adjutantów — a sztab cesarski chwiały głowami i powtarzał groźnym szeptem — „no i cóż on!?! dostyc!“

Niedołęstwo!

I sztab cesarski skupił się dokoła pana Lelorgne d'Ideville, sekretarza gabinetu cesarskiego. Ten wiedział, ten znał pozycję najlepiej.

Piąty korpus, droga starosmoleńska, Utycza. A pod Utyczą Tuczaków z trzecim korpusem — mrowie luda. A za Tuczakowem tuż, może Bagration, a może i część Bogowuta. Ba, i nie licząc nawet pospolitego ruszenia. Stanowisko ważne. Jeżeli Poniatowski się cofnął, więc odsłonił bok Junota, jeżeli pociągnął w prawo, za las, do Miasojedowa, także popełnił błąd, bo naraził się na odcięcie.

Sztab cesarski zakołysał się z powagą.

Lelorgne miał słuszność, Lelorgne wiedział najlepiej, znał napamięć każdą pozycję, sam co dnia szpilki na mapie cesarskiej przepinał.

— A jeżeli piąty korpus poszedł naprzód? — zapytał ktoś tak cicho, że ani odgadnąć, czyje usta słowa te wyrzekły.

Sztab cesarski uśmiechnął się a w uśmiechu tym zawarł i ironiczne przypomnienie, że, choć wina

wypuszczenia Benigsena spadła na biednego króla Hieronima, ale ogarniała piąty korpus właśnie, i sarkastyczną apostrofę do klęski Różnieckiego pod Mirem, i pogardę dla uroszczeń tej garści bezradnego wojska, upominającego się o furaże, o konie, o żołąd, o buty, jakby tu, wokół, mało mu było zdobyć.

— Compans idzie do szturm na redutę! Compans idzie! — zawołano w pobliżu.

Napoleon zwrócił lunetę ku środkowi. Sztab z poza cesarza badał szklanymi bojową linię.

— Tak, teraz zaczyna się to nazywać batalją!

.

A pod Utyczą armaty warowały — a pod Utyczą bębny warczały, z wściekłością wpadając w każdy przestanek armatniego łomotu — a pod Utyczą już pułk kirasjerów Małachowskiego z huzaarami Tulińskiego wyrwał się z poza piechoty, zatoczył krąg ku prawej i runął w las, ku lewej, mierząc w rdzeń arjergardy Kutuzowa.

A pod Utyczą bohaterski Tuczok sam już staje na czele pawłowskich grenadjerów, sam do boju ich wiezie. A pod Utyczą Strogonow czterema regimentami chce obejść pozycje Izydora Kraszińskiego. A pod Utyczą już pułki wczepiły się, już trzema frontami walczą ze sobą, już ognie tyraljerów gasną, głuchną.

Tuż, obok, jeszcze armaty marszałków pewnych nie znalazły celów, jeszcze silnie działowe drgają w rękach ogniomistrzów, jeszcze artylerja nic nie straciła z komendowej miary, jeszcze piechota ma czas i mierzyć i wypalić i tempami nabijać — a pod Utyczą już ledwie skwierczą zatknięte w ziemię lonty, a pod Utyczą okrzyk „niech żyje cesarz“ — drze się, prze naprzód, huk po lesie.

Za czwartym atakiem Tuczok pada raniony śmiertelnie w pierwszym szeregu pawłowskich grenadjerów. Olsufiew obejmuje dowództwo.

Ataki teraz następują coraz gwałtowniejsze, rozpaczliwsze, cichsze.

Bogowut czuwał. Postrzegł daremny wysiłek obrony, zanadto na koniec wysuniętej pozycji, postrzegł czworoboki Neya, skradające się w dymie artylerji i rozkazał, aby Olsufiew cofał się ku środkowi.

I pod Utyczą bębny warknęły do odwrotu i do ataku, trąbki zagrały na zbór i na pościg. Dwie różne komendy szarpały przeciwnikami, targały nimi.

Uplęnęła chwila. Z zamętu znów wyrwała się karność.

Olsufiew cofał się, zagwoździł ostatek zapóźnionych armat i łańcuchami strzelców odwrót osłaniał.

Dywizja Izydora Kraszińskiego formowała się i szła.

Znów chwila i pod Utyczą już artylerja ściągać zaczęła swe paszcze z pozycji, już ambulanse krwawe zbierały pokłosie śmierci i kalectwa, już w rezerwie stojące dotąd bataljony przeciągały ku opróżnionej reducie, na której sam Kniaziewicz zarządzenia wydawał.

.

Szef sztabu, generał Fiszer, na placu stoczony bitwy posuwał resztki oddziałów, strzępy bataljonów zbierał, rozsyłał rozkazy.

Ostatnie dwa pułki kawalerji czekały skinienia, aby ruszyć w las, kędy Tuliński z Małachowskim oskrzydlenie torowali.

Fiszer czekał, przejeżdżał niespokojnie pole, poglądał niecierpliwie ku orłom, migocącym ponad ciemnymi pasmami piechoty i czekał.

Pułki kawalerji kołysały się, wyrzucały łbami końskimi, łopotały dwubarwnymi wstęgami rozpiętych na lancach chorągiewek.

Fiszer gorączkował się. Ostatniego ordynansa się wyzbył. A tuż za zagajnikiem, Szewardino gromami biło a tuż, na lewo, wieś Siemionowskoje morzem śpiżu ziała.

Fiszer zęby zacisnął — jeszcze chwila a Małachowski z Tulińskim o własne szarże na miazgę się rozbiją wśród leśnych zasieków.

Aż wtem, od reducy, zajmowanej przez piechotę Krasińskiego poderwał się jeździec i jak kula spadł na Fiszera.

— Odwrót! Odwrót zupełny! Na mamelonie cztery baterje natychmiast!...

— Mości książę, ułani!

— Ja z nimi! Wezwij, generale, Sebastianiego, aby wdarł się od lewej strony reducy!... Desaix trzeba uwiadomić, niech zatoczy łuk! Bywaj, generale! Stój! Raport do cesarza natychmiast!

— Ani jednego oficera ordynansu nie mam!

— Ślij pierwszego lepszego! Raport krótki!

Fiszer chciał coś rzec, lecz książę pochylił się na koniu, dopadł pułków i porwał je za sobą.

Ułani zaszamotali się. Krata lanc opuściła się ku dołowi, potok koni i ludzi tumanem pyłu się okrył i z nim razem zniknął w oddali i z nim razem się rozwiął.

Fiszer ścigał rozblyszczonem okiem ułanów, aż gdy szczyli — zdarł konia i ruszył klusem ku reducie.

Naraz, w pobliżu gromadki artylerzystów, porajających się z zarytą w podsyp armatą, generał postrzegł porucznika grenadjerskiej kompanji, uganiającego się za parą spłoszonych koni.

Generał, bez wahania przeciął drogę porucznikowi.

— Hola! Stój, acan!

Porucznik na widok szefa sztabu konia osadził i rękę do czapy przyłożył.

— Co tu, acan, za harce?!...

— Konie, panie generale, zbiegały mi się — tłumaczył się zadyszczanym głosem porucznik — lewy raniony w chrap, od Smoleńska dopiero chodzą w zaprzęgu... dawne nam ubili...

Fiszera machnął ręką.

— Jesteś z artylerji konnej Redla?!

— Tak, generale!

— Pojedziesz z raportem do cesarza!

Porucznik otworzył szeroko oczy i zaczął z wysiłkiem:

— Ja, generale?!

Fiszera szczęka drgnęła.

— Bacność do pioruna! Słuchać psia krew!

Ruszyć natychmiast do cesarza z raportem!...

Piersz porucznika zadygotała.

— Jezu!

— Co gadasz?!

— Według rozkazu, panie generale! — huknął z mocą porucznik.

— No, więc dotrzesz! Zdasz mu raport! Słuchaj! — Piąty korpus! Rozkazy spełnione! Utycza wzięta! Oskrzydlenie zaczęte!... Nieprzyjaciół cofa się! — Rozumiesz!? Powtórz!

Porucznik powtórzył jednym tchem.

— Żebyś mi ani sylaby nie przeinaczył! Wiesz,

gdzie cesarz!? No tam — na przelaj, za korpusem marszałka Davoust, gdzie gwardje! Jeździłeś z raportami do głównej kwatery!?

— Nie jeździłem, generale!...

— Cesarza widziałeś?!...

— Zobaczę, generale!...

Jasny promień uśmiechu przebiegł matową, kościstą twarz Fiszera.

— Ruszaj! Naprzód!... Jak wrócisz... zdasz mi sprawę!... He! Stój — czekaj!?... Co tu masz na rękawie?! Ranny?!...

— Draśnięcie z rykoszetu, panie generale — nic!

— No! Bo jeżeli ranny, poślę innego!...

Na twarz porucznika, po przez ciemne plamy sadzy i pyłu, trysnęły płomienie.

— Jeszcze ani razu nie byłem raniony...

— Hm! I ten! Czekaj asan! W drodze bacność, masz raport złożyć!... A nie dać się zabić... Takiego trutnia mi nie trzeba! Ruszaj! Marsz!...

Porucznik szarpnął konia gwałtownie, kasztan wspiął się i ruszył w cwał na łańcuchy tyraljerów, na wrzącą w pobliżu bitwę, na chmury ołowiu i żelaza.

.

Raport!

Porucznik rwał co koń wyskoczy, rwał, ani

zważając na poświst kul, na pełną po ziemi kadłuby ludzkie, na wyjące przekleństwami zarośla, na smugi ogniste, bijące ku niemu z boków, ani na chrapliwe okrzyki, ani na ostrzegawcze głosy!

Co jemu tam! Co jemu!...

Żeby lata snami śnił, żeby lata marzeniami marzył, nie wyśniłby chwili takiej dla siebie, nie wyroił!...

Boże! Czyż tylko nie ułuda?...

Jak to było!... Jak to było!?...

Gdzie przed świtem, na obroki zatrąbiono i do pojenia!... A potem — poczciwy Łobodzki krupniku zagrzał — później oprzeg i na pozycję wywłócił baterję sam Redel... No i bitwa! Granaty omiatały diabło!... Czajkowskiemu kula urwała rękę z lontem! Pochylił się do własnej ręki, wyjął z niej lewą ręką lont i podпалиł!... Zawzięty był!... Ale już drugi raz tej sztuki nie potrafił, bo mu wydarto trzewia! — I tak było!... Poszedł za Czajkowskim Łobodzki, za Łobodzkim wachmistrz Śpioch i kanonier Rustejko... Szleje koniom poprzecinało!... Aż dopiero poszło na „ostre przez spiż...“ i na „czołgające“!... Redel! Nastawił, plunął, ośm podskoków z jednej kuli dobył!... I potem zagrali! Graj na dudce przy armatach... niby piechurom! Garściami, wyciorami trzeba było odpędzać od zapalów!... Grenadjerska kompanja artylerji konnej!... I po tem oprzeg... pościg za końmi i szef

sztabu... i raport! Do cesarza raport! I taki raport! Utycza wzięta! Powiada generał, tedy wzięta! i oskrzydlenie zaczęte!...

Porucznik mocniej konia nacisnął ostrogami.

Co jemu tam! Co jemu!

Czwarty rok, jak od rekruta zaczął w baterji, kiedy to jeszcze Roman Sołtyk oficerzył! I psia, w dziewiątym roku rzetelnie do wachmistrza się dochrapał — ale, gdzie tam myśleć mógł o takim kiedy ordynansie! W szóstym roku gdyby mu rodzic jegomość pozwolili do wojska, jak się napierał, to możeby i cesarza kiedy oglądał. — Lecz rodzic jegomość ani myśli, chyla, że pani matka od kobierczyka wyprosiła. Ba i teraz choćby. Ułani, huzarzy, kirasjerzy, piechury nawet całe parady mieli pod Smoleńskiem a grenadjerska kompanja konnej artylerji po wertepach się wlokła a raz jeden czerwony mentyk cesarskiego oficera ordynansu oglądała!...

Jakowyś skowyk ponury przesunął się tuż ponad głową porucznika.

Porucznik sięgnął do czapy, garść sierści osypała mu się z bermycy.

Porucznik rozśmiał się i podpinkę czapy głębiej pod brodę zasunął.

Co mu tam!

Wczoraj jeszcze, na biwaku, Rymkiewicz powiadał o sztabowych paniczykach. Choć Kicki albo

Kamieniecki, w karmazynie, w błękitach, sześcioro luzaków, troje masztalerzów przy każdym! Raz po raz do głównej, do cesarskiej kwatery jeżdżą! Z księciem ministrem wojny za pan brat przy pu-tyfonie! Cesarzowi kitami a akselbantami świecą, ostrogami brzęczą!... Taki raport wykrztusi i legję dmuchnie!

A dziś! On sam tnie sobie przez środek armji, niby pyszny adjutant książęcy!...

— *Garde à vous!* — wykrzyknął jakiś głos w pobliżu.

Porucznik obejrzał się a spostrzegłszy wychy-loną z poza krzaków głowę, w stosowanym kape-luszu — skinął jej przyjaźnie.

— Hej! Gdzie główna kwatera?

— Nie wiem! Bacność, tyraljerzy!

Porucznik dzwignął lekceważąco ramionami i pomknął wprost, kędy na wzgórzu mocniej kotło-wały się dymy.

Droga jednak stawała się teraz trudniejszą. Całe kolumny piechoty zagradały porucznikowi przejazd, zmuszały do krążenia. Obłoki dymu nie pozwalały mu się orjentować, gdzie się znajduje, huk piekielny głużył słowa zapytań, które rzucał spotykanym żołnierzom. A koń, choć nie ustawał jeszcze, lecz coraz ciężej łbem wyrzucał.

Porucznik wspomniął na przestrożę generała, mocniej zebrał cugle i baczniej zważał dokoła.

Lecz myśl jasna, która przejmowała poruczni-ka, znów wzięła górę.

Co mu tam! Padają, giną, jak w bitwie, jak na wojnie! A Utycza wzięta! A on z raportem do niego, do cesarza! Toż w baterji gadać będą! Kapi-tan Woliński raz jeden, w siódmym roku cesarzowi pisanie Dąbrowskiego wręczał — a z dnia na dzień coś ma do powiedzenia o tej misji, z wieczora na wieczór, ktoś wspomni i nuże do Wolińskiego, aby znów rozpowiadał, od początku, wszystko. — I słuchają! A piją aż prawie — bo to zawsze takie mocne, takie zażarte, że dech strzymuje a w garście włazi! Musi tak, bo o cesarzu!...

Kasztan potknął się gwałtownie i aż nozdrzami ziemi dotknął. Porucznik kiwnął się na siodle i zwolnił biegu. Kasztan z truchta poszedł w stępa i to niepewnego, a gdy porucznik ostrogami go na-cisnął, tupotał jeno a nie pośpieszał.

Porucznik pochylił się ku ziemi. Ziemia była zasłana ciałami żołnierzów i to żołnierzów jednego munduru, jednego pułku.

— Sześćdziesiąt jeden! — Sześćdziesiąt je-den. — I ten doboz ma ten sam numer na bębnie!... I ten na lewo i tamten!...

Dziwnem się to zdało porucznikowi, a dziw-niejszem jeszcze, że po tej polanie jednobarwnej, tuż ponad ciałami poległych, rannych i dogorywa-

jących jakiś pył czerwony się unosił, jakiś pluskot wybryzgiwał.

— *Par l'amour de Dieu!* — stęknął niemal tuż pod kopytami kasztana rozpaczliwy głos.

Porucznik, mimo wycia armat, usłyszał zawołanie żołnierza, czolgającego się w pobliżu na rękach.

— Daj mi pić! Ratuj!

Porucznik sięgnął do olster, dobył manierkę. zatknął ją za ucho na końcu pałasza i podał żołnierzowi. Żołnierz przechylił ją, wypił tchem jednym wszystką gorzałkę i odsapnął.

— Co, tu była bitwa?!...

— Sześćdziesiąty pierwszy pułk, brygada Gujardol, dywizja Compans, marszałek Davoust...

— Gdzie główna kwatera?!...

— Dwie kontuzje w krzyż?! O, chyba się położył!... Uchodź!... Szarża pójdzie... Generał Montbrun poległ!...

Żołnierz mówił jeszcze, gdy naraz kolisty obłoczek zawisł nad nim a równocześnie miazga rozszarpanego ciała bluznęła w twarz porucznikowi. Kasztan aż się zatoczył.

Porucznik otarł twarz rękawem, otrząsnął się, przeżegnał i wbił ostrogi aż do krwi kasztanowi.

Raport wiezie! Niema mitregi! Raport cesarzowi! Raport temu, którego pacholęciem śnił, który ku niemu spłynął wraz z mrokiem zimowego

wieczora, wraz z poszeptem italskich nowin, z imieniem którego wzrósł, zmężniał!

Raport wiezie!... Cesarzowi! A nie widział go dotąd! Czy nie widział! Toć go nosi tu, w piersi... lata całe! Zna go, i cesarz go zna!...

— *Caulaincourt! Tué! Caulaincourt!!* — hucały pod lasem zbałwanione głosy.

Porucznik ani zważał, ani wiedział, że z jakąś rozbitą a chrzęszczącą i łyskającą kirasami falą galopował.

Raport zda — a może legja!?!... Może cesarz sięgnie do swego krzyża! To już chyba niczego na świecie więcej!... Legja!

Na oczy porucznikowi jakaś czerwien spłynęła.

Sięgnął ręką do bermycy. Śnać nasiąkła miazgą! Ba i cięży i piecze!

Porucznik przesunął podpinkę i zdarł czapę z głowy i precz odrzucił.

Orzeźwiło go.

Teraz znalazł drogę! Szwoleżerzy! — Byle prędzej, byle raport wyrzucić, byle już stanąć przed nim nareszcie!.. Lata całe przecież ścigał go, lata gonił... i nareszcie!...

A naokół wstęgi legji... i tuż po oczach ściekają czerwone krople legji i po rękach i po olstrach i po mundurze!

Raport!

Sztab cesarski a raczej złachmaniony, poczerniał od dymu jego ułomek stał na wzgórzu za cesarzem.

Batalja już w zamęt rozpaczliwych wysiłków przechodziła, już najskrytsze okazywała plany. Sztab cesarski harcował już od trzech godzin z rozkazami i zbierał rany, awanse, krzyże i mogiły.

Ordynans za ordynansem nadjeżdżał, ordynans za ordynansem ponure wieści niósł. Generałowie adjutanci cesarscy rozpraszały się, rwali obejmować komendy z rąk poległych i rannych dowódców dywizyj.

Aż Ney zażądał posiłków, aż Murat wyprawił samego generała Belliarda po rezerwy.

Napoleon ani słuchał, ani rozumiał apostrof do gwardji, która jednym atakiem mogła być przechylić szalę.

Wieści z minuty na minutę stawały się groźniejsze.

Morand ranny! Montbrun zabity! Wielka reduta opanowana znów przez nieprzyjaciela! Chmara kawalerji ukazała się na lewym skrzydle! Generałowie Huard i Plansonne polegli!

Napoleon ochrypłym głosem wyrzucał rozkazy. Próbował dymy przeniknąć lunetą a jeno mgły nieprzejrzane napotykał, marszczył się, chmużył.

— *Sire!* — wtrącił się niepewnie książę Ber-



Raport.

Jan Rezek (syn).

thier. — Mamy dywizję Claparède do rozporządzenia!

— Ani myśli!

— Marszałek Ney...

— Oszalałeś! Ney z posiłkami obiecuje zdobyć — a posiłki są przede wszystkim dla utrzymania dawnych pozycji!... Dawaj mi wiadomości z prawego skrzydła!

— Czterech oficerów już wysłałem!

— Wyślij bataljon! Niech wiem nareszcie, co się tam dzieje! Gdzie piąty korpus?

Berthier usunął się na stronę. Dwóch wypoczętych ordynansów ruszyło jeszcze szukać wiadomości w bitewnym chaosie.

Zaledwie atoli oficerowie ci zanurzyli się w dali bojowej, gdy naraz, na wzgórzu ukazał się jeździec bez czapy na plużącym koniu, a zlany przytem i zmazany tak krwią, że ani rangi ani munduru nie rozpoznać.

Sztab rzucił się ku jeźdźcowi, który wprost na cesarza najeżdżał — lecz jeździec już huknął zajadle.

— Raport piątego korpusu!

Napoleon ruszył ku przybyłemu.

— Mów! Powiadaj!

— Utycza wzięta! Oskrzydlenie idzie! Nieprzyjaciel cofa się... i...

Jeździec nie dokończył, bo w tej chwili koń runął pod nim, jakby kosą podcięty.

Sztab cesarski na prześcigi skoczył dobywać ordynansa z pod szamoczącego się w konwulsjach wierzchowca.

Chirurg cesarski Larrey skinął na swoich pomocników.

Ordynans dyszał ciężko, a szklistemu oczyma poglądał. Napoleon pochylił się nad ordynansem.

— I cóż jeszcze masz do powiedzenia!? Cóż jeszcze!

Szkliste oczy ordynansa patrzyły na twarz cesarza długo, nieruchomie, aż w tem, na dnie zgaszonych źrenic nowe zadrgały błyski.

— Cóż jeszcze?! — badał cesarz.

— Rozkaz spełniony! — szepnął ordynans i omdlał.

.

Napoleon w oka mgnieniu ocenił ważność raportu i zadecydował:

— Claparède wesprze najpierw Neya!...

Chirurg cesarski Larrey równocześnie już zbadał omdlałego i rozstrzygnął:

— Utniemy mu najpierw rękę!...

.

Porucznik grenadjerskiej kompanji, artylerji konnej, piątego korpusu wielkiej armji nazywał się Rostworowski.

I N S T R U K C J A *

* Proza deklamowana przez art. dram. Mieczysława Frenkla.

Smyku, bierz cię diabli! Pułk wyprowadzili, czworobokiem zwarli, broń do nogi i baczność... niedołego! Stoisz! Na prawem skrzydle dobosze huczą, trąbki zawodzą! Serce ci dygocze, a ty nic, bierz cię diabli, stoisz a dychasz. Z pod lasu, hen, idzie kolumna nieprzyjacielska, ustawiła baterję, plunęła raz i drugi i czai się, a linją ciągnie jak okiem sięgniesz!... Plunęli bliżej, świsnęła ci jedna nad uchem. Ten twój najbliższy z plutonu zachwiał się, musnął cię ręką po ramieniu!... Szlusuj — woła pułkownik. — Szlusuj! — wtórują majorowie!... Posuwasz się od prawej ku lewej i nic, stoisz — bierz cię diabli! Baterja znów rzygnęła! Szelmy wypatrzyli. Kaszkiety się posypały!... Ścisnąłeś karabin, mać starucha spojrzęła na cię, pozdrowili cię ojce, kolnęło cię, spojrzęłeś po sobie i nic, stoisz — bierz cię diabli!! Wdali tymczasem tuman się poderwał, zaczerwienił chorągiewkami, błysnął stalą — nasi szarżują, — ziemia jęczy. Baterja ryczy. Kule gwizdzą a po uszach cię głaszczą!... Ty nic! jak ci gwiznie — to nie twoja!... Ta, co tobie sądzona, warknąć nie raczy!... W kompa-

nji twojej ubytek!... Najbliższy kapral sierżantuje, najbliższy kapralowi kapraluje!... Coraz sprzątają ci towarzysza! Jeszcze odrobina a nie będzie ani z kim do koła zasiąść, ani o swoich zagadać, ani się ucieszyć. Ściskasz lufę, ładownicę pieścisz i nic, i nic — stoisz — bierz cię diabli!...

Pod lasem baterje umilkły — łomot jeno idzie. a trzask! Ułani wgryźć się nie mogą!... Wtem od sztabu pędzi adjutant. Na siodle się pochylił, akselbanty srebrzą mu się w słońcu, czapę wiatr zerwał, zawisła na sznurach i łopoce a kitą trzęsie. Dopadł adjutant pułkownika, salutował, rozkaz generała przywiózł!... Bębny ozwały się, trąbki zagrały pobudkę. Komenda — podwójny krok i marsz! Idziesz! Kaszkiet na uchu, lederwerki bieluteńkie, na białych rabatach amarant, na amarancie blacha pozłocista, a biała. Idziesz! Baterja waruje — lonty już się tlą, powitanie gotują. Czworobok sunie, zbliża się... — strzelili... Zakotłowało się w szeregu! — Naprzód dzieci, za mną! — huknął głos pułkownika.

Ciebie aż poderwało, zachwiałeś się, zatoczyłeś z całym czworobokiem, a potem pochyliłeś karabin i pędzisz — bierz cię diabli!...

Oka mgnienie, a przed tobą mur ludzi, mur żelaza... — Za mną — dzieci!...

Skupiłeś się w sobie, wpakowałeś ładunek najbliższemu, bagnet do dołu i po żebrach... Przed

tobą kapitan! Pałaszem podbija wymierzone ciosy i prze! Dwakroć z pod ręki zasłoniłeś go i aż ci się z radości ścisnęło serce — burczy-mucha kapitan, ale ot, swojak... Trzeci raz go opadli, nie zdążyłeś, zachwiał się, krwią broczy i jęczy. — Naprzód... dzieci!

Ciebie, gdyby żelazem rozpalonem. Nie starcza ci bagnetu, za lufę chwytasz i następujesz, a pierzesz! Bierz cię diabli! Pierzesz za kapitana, za sierżanta, za kaprała, za mundur, który ci bagnetem rozdarto, za kaszkiet strzaskany kulą, za mac staruchę, co we łzach powrotu twego wygląda, za ojce, co także na polu legli, za blaszkę pozłocistą, co ci ją zrysowali, za ziemię, za generała, za cesarza!... Pierzesz!... A dookoła ciebie polana... ty, bierz cię diabli, następujesz, a co rusz, ubroczysz... Aż nie stało przed tobą wroga!... Trąbki grają — ledwie nogami wleciesz ze znużenia a czegoś ci lekko na sercu, czegoś w duszy gra, coś cię w sercu grzeje!... Nadjechał pułkownik, spojrział na cię i powiedział do cię „zuchu“. — Idziesz, patrzysz, porucznik twój zmaga się, powstać nie może. Ty do niego, w ramiona go bierzesz i niesiesz, on do ciebie „bracie...“ Bierz cię diabli, niesiesz!...

Pułk się zbiera, sztandar furkocze strzępami — trzy bataljony się składają i ledwie z nich cztery kompanje... Wódz nadjeżdża... salutuje, przemó-

wił, aż ci pierś dygoce, łzy się cisną, beczałbyś...
bierz cię diabli!... Pułkownik na ciebie wskazał!...
Bębny zagrzmiały! Wódz do ciebie! A pod tobą
nogi drżą, chwiejesz się, trzęsiesz... kapitan ci salu-
tuje!... Jezu! W oczach ci pociemniało! Bledniesz
jak chusta. — Bębny grzmia! Na piersiach twych
krzyż. Rozumiesz smyku, rekrucie!... Bierz cię dja-
bli wtedy!... Wracasz do dom... krzyż ucałowałeś,
z żalem na złachmaniony mundur poglądasz... Pa-
trzysz, na ramieniu sznurek krwi wiję się, ślizga,
czerwienią znaczy swą drogę! Myślisz, boli? Tfy!...
Bierz cię diabli! Śmiejesz się do niej, przyglądasz
się i cieszysz, i mówisz... płyń, ciecz psia wiaro za-
tracona, bierz cię diabli... za kapitana, za sierżanta,
za kaprała, za mundur, za kaszkiet strzaskany, za
mac staruchę, za ojce co polegli, za blachę pozło-
cistą, za ziemię rodzoną, za generała, za cesarza!
I... i wtedy rekrucie, smyku... niedołego... żołnie-
rzem jesteś!...

A M B U L A N S

1809

Warszawa nie spała. Około Jerozolimskich rogatki tłumy ludu zebrały się z pełnym grozy łękiem przecierając wlokące się wozy ambulansowe. Z zapartym oddechem, ze ściśniętymi ustami, witały każdy furgon, wypełniony bezładną masą ciał ludzkich, ciał dyszących ciężko, niekiedy skurczonych, czasem zastygłych...

Czasem, z pod białej płachty wozu wyjrzała twarz blada, skrwawiona, naznaczona rozpaczą i szklane swe oczy wpijała w falującą ciżbę — czasem, na spojrzenie to odpowiadał okrzyk zgrozy, czasem tylko spazm żałosny, przejmujący.

Niekiedy tłum zalegała cisza grobowa, a wówczas jakby ją chcąc przerwać — odzywały się wozy ambulansowe, odzywały się jękiem, skargą, to znów szeptem modlitwy.

Czasem, pod nakryciem wozu rozległa się komenda, komenda zajadła, śmiertelna, spływająca z posiniątych warg. Czasem, nieprzytomny żołnierz roił o matce, o domu, o rodzinie — czasem, zawieźął towarzyszowi ostatnie pożegnanie...

Ambulanse ciągnęły długą, nieprzerwaną wstę-

gą, — bo gdy idące przodem zdołały uwolnić się z krwawego ciężaru, wypuszczały konie i boczniemi ulicami dążyły znów na pobojuwisko, aby po raz wtóry i trzeci zabrać nowy ładunek ciał i znów pełznąć w szeregu.

Tak mijały godziny. Tłum stał jeszcze. Aż nagle rozszedł się między nim grobowy szept. — Godebski jedzie! — Szept zakołysał tłumem, przeniknął go wskrós i zaparł w nim oddech, stłumił serce bicie.

Na drodze, pomiędzy łańcuchem wozów, ukazała się bryczka otwarta. Dwóch żołnierzy prowadziło za uzdy młode, zrywające się konie. Dwóch innych szło po bokach, trzymając zapalone pochodnie...

Tłum odkrył głowy na powitanie, i wzrokiem rozpalonym, niespokojnym, spoglądał ku bryczce, nierozumiejąc z początku tego dziwnego widoku.

Bryczka istotnie osobliwie wyglądała! Na pierwszy rzut oka zdawała się być marami! Gdy atoli wzrok opanować zdołał blaski migocących pochodni, przeistaczała się w łoże, na którym zarysowywała się sylwetka leżącego na wznak pułkownika, a ponad nią cienie kilku ludzi... Dopiero kiedy kto zdołał przysunąć się do plecionego wezglowia bryki, kiedy pochwycił coś z urywanych słów, które cienie ze sobą zamieniały — wówczas zrozumiał, czem była ta bryczka, wówczas dreszcz zi-

mny wskrós go przenikał i ścinał mu krew w żyłach. Bryczka była lazaretem...

Chirurg Przysański z rękawami zakasanemi po łokcie a ociekającemi jakąś czarną, straszną pianą... opatrywał Godebskiego. Nie opatrywał, lecz walczył z porwanemi żyłami, z podartemi tętnami. Dwóch cyrulików pomagało mu w pracy...

Przysańskiemu ręce omdlewały ze zmęczenia — lecz jeszcze nie ustawał, jeszcze nie dawał za wygraną. Stalowymi szczypcami chwycił weny, zakręcał, wiązał, naciągał niby struny... Struny jednak wyslizgiwały mu się, uciekały w głąb rozwartych ran i stamtąd buchać zaczynały potokami krwi. Przysański znów je chwycił, znów zaciskał i znów naciągnął na żelazce... Wreszcie po zażartej walce — odetchnął ciężko — struny życia były namotane — lecz życie samo już prawie że spłynąć zdołało.

Chirurg nie dał się zwątpieniu i zabrał się skończyć do opatrywania rozwartej piersi pułkownika, gdzie krwotok był nierównie mniejszy, niż na przedkołaniu i ramieniu, lecz rana głębsza, pełna miazgi strzaskanych żeber i brunatnej, skrzepłej cieczy... Rana ta sączyła ledwie kroplami, ale krople te padały tu już latami życia... a zdawały się być ostatniemi ziarnkami klepsydry...

Przysański cienki a lśniący nóż pogrążył w ra-

nie, aby choć zapobiec szybszej gangrenie, aby ją opóźnić...

Konie bryki przystały.

Chirurg spojrział ku wezłowi, na którym sierżant Świerzyński trzymał głowę pułkownika i rzucił przez zęby:

— Oddycha?!...

Sierżant skinął głową. Przystański śmieiej poruszył nożem, zatoczył nim krąg i wydarł z rany kłęb skrępej miazgi. Cyrulicy podsunęli szarpie...

Godebski jęknął głucho — w tłumie otaczającym brykę, jakieś echo zadygotało.

— Milczec tam! — zawołał surowo Przystański. — Odstąpcie!

Tłum rozsunął się posłusznie — lecz gdy bryka toczyć się znów zaczęła — zachwiał się i jął postępować za nią w grobowym milczeniu, jakby pragnąc ani jednego tchnienia umierającego pułkownika nie stracić!...

— Dajcie mi pić! — szepnął z wysiłkiem pułkownik.

— We... dług rozkazu! — wybełkotał sierżant i drżącymi rękoma przytknął do ust Godebskiego kubek z przygotowanym napojem.

Pułkownik pił długo, chciwie — wreszcie odetchnął głęboko — szarpie na piersiach w oka mgnieniu nabrzmiały krwią. Przystański ledwie nie za-

krzyknął z alteracji, a wyrwawszy cyrulikowi nowe pęki szarpi — ozwał się cicho:

— Pułkowniku, spokojniej! Oddychać krótko!

— Kto do mnie mówi?! — zapytał wpółsennie Godebski.

— Nic!... To ja, Przystański!

— Przystański?! — powtórzył cicho pułkownik. — Który Przystański? Kapral... drugiego bataljonu... trzeciej kompanji? Czemu nie odpowiadacie?!... Tak... to on!... Zdawało mi się... że... poległ!... Dusi mnie!... Dajcie pić!... Jeszcze!...

Napój orzeźwił Godebskiego, rozjaśnił mu spojrzenie.

— Kto tu przy mnie?!

— Świerzyński... sierżant... panie pułkowniku!...

— Ty — ty... stary?!... Wszak... widziałem... byłeś ranny!?...

— Nie — nie... panie pułkowniku!... Bierz... djabli... nic mi!...

Godebski uśmiechnął się.

— Patrz... a mnie się zdawało... że wszyscy!... Dookoła mnie tylko czerwone, krwawe zasłony... tylko poszarpane ciała... tylko trupy!... Dlaczego tak cicho?... Armaty nie grają!?... Gdzie jesteśmy!?

— Warszawa.

Pułkownik drgnął całym ciałem. Jakaś moc rozpałała mu oczy.

— Warszawa... Warszawa!... A mnie się marzyło... że już odszedłem daleko... od swoich... od ziemi... że już nie powrócę, że już nie zobaczę... moich chłopaków!... Jak ciemno!...

— Noc, panie pułkowniku!...

— A, noc! Myślałem...

Na twarzy Godebskiego zarysował się skurcz niepewności.

— Sierzancie!...

— Uważam, panie pułkowniku.

— Powiedz mi!... Powiedz prawdę!... Jakże?!

— Wszystko, według rozkazu.

— Nieprzyjacieli?!

— Rej... zrejterował, panie pułkowniku!...

— Podnieś mnie!...

— Mości pułkowniku, zaklinam, ani, ruchu! — upomniał Przysiański.

Lecz Godebski targnął się i uniósł głowę. W tej samej chwili ból drętwy, pałący złamał go i powalił na ręce sierżanta.

Pułkownik jęknął głucho:

— Teraz wiem! — szeptał siniejącymi wargami Godebski. — Teraz przypominam sobie!... Olszyna wzięta... Dobiecki... Potem atak za atakiem!... Bez pomocy... Pogrom — straszny! Grenadjerska kompanja wycięta w pień... Świerzyński!... Podaj mi rękę!... Umieram!... Ta ostatnia... dogodziła!... Ciężko!... Nie żal krwi, nie żal życia... gdy-

by... Niema zgody... nie ma serdecznej myśli!... „Blacha“ rządzi... dzieciuchy... panicze... I co teraz?!... Znow pożoga, znow niemoc, niedola!

— Dąbrowski! Dąbrowski! — zawołał nagle tłum, rozstępując się przed nadciągającym generałem, który jechał nasepiony z Zajączkiem i Szczanieckim. Gdy zrównał się z bryką wiozącą Godebskiego, zdarł konia i zagadnął żołnierzy, niosących pochodnie.

— Kto to?

— Pułkownik Godebski!

Dąbrowski zeskoczył z konia i podszedł ku bryce. Zajączek i Szczaniecki poszli za jego przykładem.

Dąbrowski ujął pułkownika za rękę i rzekł z przejęciem:

— Panie Cyprjanie!... Szukałem was!... Niepoznajecie mnie!... Dąbrowski.

— Generał tutaj!?!... Myślałem, że was już nigdy nie będę oglądał!...

— Cóż znowu!... Pułkowniku!... Nie dawać się zwątpieniu...

— Ja też nie wątpię!... Podnieście mnie! Generale... dwóch chłopaków zostaje... wdowa! Wspomnijcie na nich, niech na poniewierkę nie idą!...

— Pułkowniku! — zawołał z energją Dąbrowski! — Precz z mazgajstwem!... Rana ci nie pierwszyna!

— Ja się też nie skarżę! Generale! Pamiętajcie na Gavarda!... Majora Gavarda. Stawał jak lew... widziałem go zdaleka, jak prowadził!... Jemu odznaczenie... awans!

— Gavard!? — szepnął dziwnym głosem Dąbrowski. — On już awans wziął i... nagrodę najwyższą!...

Godebski odetchnął z trudem.

— Najwyższą, mówisz! wielki oficer... generale... A kto tu stoi z drugiej strony!?

— Zajączek!... Nie poznajesz mnie, pułkowniku!?

Na twarzy Godebskiego zajaśniał uśmiech. Omdlałemi rękoma ujął dłonie Zajączka i Dąbrowskiego.

— Wy razem?! Wy obok siebie?!... Boże!... Więc ulitowałeś się, więc natchnąłeś tych, najdzielniejszych, duchem miłości!... Słuchajcie!... Pieśń zwycięstwa gra mi w sercu, pieśń triumfu! Słyszycie, jak w łonie ziemi jedno bije tętno!... Wy razem... Toć od dziś nie postanie u nas nieprzyjaciel, toć lec musi!... Teraz naprzód!... Teraz do ataku, na bagnety!... Przebaczenie umierającemu!... Lecz niech zobaczę!... Podajcie sobie ręce!... Boże, Boże, czym ja śnił o takim szczęściu!... Teraz... pójdę stąd... z głową podniesioną... a jeżeli powołają do raportu raszyńskiego — to powiem Mu... jako wobec niebezpieczeństwa... wobec nieprzyjacielskich

zastępów — nie masz już żadnej myśli małej... żadnej intencji mizernej!!... Jezu!

Godebski pobladł, usta zacisnął, oczy mu kołem stanęły — jeszcze targnął się raz, jęknął, spojrział zbolalym wzrokiem na trzęsącego się jak liść sierżanta i omdlał.

Chirurg z cyrulikami pochylił się nad pułkownikiem i badał puls długo, gorączkowo — wreszcie podniósł zwolna głowę i wyszeptał cicho:

— Skonał!...

Generałowie zdjęli kapelusze i, stojąc wciąż przy Godebskim, trzymali w niemym uścisku stygnące dłonie pułkownika.

Lud, otaczający brykę, pochwycił wyrok chirurga i powtórzył go dalej stojącym gromadom...

— Skonał! — powtórzyły tłumy.

— Skonał! skonał! — podchwyciły echa ulic Warszawy.

ODWRÓT

1812

Dnia dwudziestego piątego listopada główna kwartera w Borysowie.

Po dniu pochmurnym, bluzgającym falami wodnistego śniegu, zapadła noc mroźna, poświstem wichru przejmująca, ścinająca znów lodem roztajałe ledwie oparzeliska i kałuże, a tak ciemna, tak przepastna, nieprzenikniona, jakby w swym całuniecie chciała skryć całą bonapartową niemoc, całą butnych gwardyj nędzę, całą hardych orłów rozpacz.

Lecz ci, którzy zdołali przed nocą dosięgnąć Borysowa, ani myśleli kryć swej niedoli, swych łachmanów, swego głodu, swych ran, swej ucieczki. Runęli na ubogie miasteczko, własnym głodem wskroś je przepoili, wypełnili ciałami półtrupów, a półludzi wszystkie jego zakamarki i rzucali wzajemian garściami złota, rzucali skarbami!

I ubogi lud borysowski dał się z początku skuć bogactwami. I sprzedawał bochenki chleba, naręcza drzewa, worki kartofli i zdumiewał się zażnościami i hojnością obdartusów; pojąć nie mógł, aby lada żebrak, w jakąś zbrukana rogozę czy

szmatę spowinięty, wyniszczony, wytarzany w błocie i niechlujstwie mógł za byle ochłap napoleondorami rzucać.

I ubogi lud borysowski w ciągu godziny stał się posiadaczem skarbów, o jakich nie miał wyobrażenia, jakich ani umiał zrachować ani ogarnąć.

I lud borysowski jeszcze nie otrząsnął się z pierwszego oszołomienia, nie zdołał uprzytomnić sobie, czyżby to byli ciż sami Francuzi, którzy przed kilku miesiącami przeciągali tędy, wprawdzie nie tak hojni, lecz jakże różni... — gdy liczba kupujących tak się wzmogła, że już nie było co sprzedać. Znikły woły, konie, owce, cielęta, kury, mąka ze śpizarni, liche zapasy siana i owsa, ostatnie koły z opłotków, ostatnie garście słomy, a znikły tak, że ani śladu racic, ani skrawka trzewi, ani źdźbła skóry. Część tych zakupów utonęła pomiędzy czworobokiem bagnetów i lanc, a część jakby rozwiała się w powietrzu, rozplynęła pośród ulic, wypełnionych tłumem pstrym, jęczącym, wyjącym i miotającym przekleństwami.

I lud borysowski zafrasował się, zakłopotał z całą szczerością pożądania złota i kosztowności, które ku niemu z łachmanów wyciągali nędzarze.

I okruchy pozostałego jadła, resztki najnikczemniejszych tłuszczów i smarów doszły wartości bajecznych, bo niekiedy kupujący, nietylko oddać musiał majątek przydźwigany, lecz i tuż potem,

w zakamarku miasteczka, oddawał za kromkę chleba życie.

A tymczasem ciżba mundurów wzmagala się, rosła, potężniała. Aż pod noc przybrała takie rozmiary, że, dla bezpieczeństwa cesarskiej kwatery, armaty zatoczono u wylotów głównej ulicy. Ciżba skierowała się w bok, ku polom i odleglejszym domostwom, lecz i tych co już byli w Borysowie starczyło zadość, aby cichą miejscinę w odmet piekielny zamienić.

Daremnie żandarmerja polowa chciała w karby ładu ująć rozbitków wielkiej armji, daremnie ustawić próbowała wozy, bryki, kibitki i landary, daremnie rozpędzała gromady skowyczące a cisnące się do ognisk, do izb, do chat, stajen i obór. Nic tu nie pomagały ani groźby, ani napomnienia, ani pięście. Aż ostatkiem bagnetów otoczono cesarską kwaterę, a resztę Borysowa wydano na pastwę chorób, ran, plugastwa, zdziczenia, zezwierzęcenia, zastygłych w niedoli uczuć, skamieniałych serc.

I lud borysowski zadrzał ze zgrozy, bo ci, dla których zabrakło miejsca u ognisk lub kąta w izbach — ci wyrywali teraz drzwi, wysadzali okna, rabowali sprzęty na rozniecenie własnych ogni. Ci powalonym a wyczerpanym towarzyszom zdzierali łachmany. Ci z bronią w ręku rzucali się na jedzących zakupione przedtem ochłapy. Ci, tra-

wieni głodem ciepła, skradali się do strzech i podpalali je.

I lud borysowski porwał za kosy i widły i błyskiem żelaza odpowiadał na błagalne wezwanie konającego, uderzeniem pięści miażdżył pogroźkę.

Borysów gorzał i łunami skarżył się niebu na swą dolę okrutną.

Bójki i krwawe rozprawy co chwila wybuchwały, co chwila pałasze żandarmerji śpieszyć musiały na tłumienie zawiązujących się bitew. A tłumienie to nie było ani wymiarem sprawiedliwości, ani ukaraniem winowajców, ani załagodzeniem sprawy. Żandarmerja parła koźmi, siekła i rozpędzała przeciwników tak, jak dojeżdżacz rozpędza zwykłą gryzącą się psiarnię. Kogo tu było sądzić, kogo karać, gdy w ciżbie były nietylko kobiety, ale i damy, nietylko dzieci, ale i hrabice, gdy główna kwatery odwagi nie miała spojrzeć w oczy tym, którzy kęsa chleba żebrali. Główna kwatery już od wielu dni zaprzestała pytać o tych, którzy odstali, zginęli a kłopotala się jeno o szczątki, które trwały, które mogły jeszcze walczyć. Nie o słabych, nie o rannych myślano, nie troszczono się o umierających, lecz o silnych, o zdrowych, o karnych.

Borysów gorzał ogniskami biwaków, gorzał pożarami, a tych, ani kto mógł, ani nikt nie zamierzał gasić, bo zanim pierwszy płomień zdołał musnąć bodaj dach jakiej drewnianej komórki czy za-



budowania, już je okrążała gromada dziczy, obsiadała wokół i zaczynała się grzać a pilnie ogień podsycać. Kto z płonącego domostwa zdołał ujsć z życiem, kto o własnych siłach zdołał wypełznąć z pod gorejącej strzechy, tego gromada wyrzucała poza swoje kolisko. A komu brakło mocy, kogo dym odurzył, kto spał — ten smażył się, piekł żywcem w oczach dziesiątków ludzi-obłąkańców, ludzi głodnych, nie rozumiejących ani skarg, ani wezwań, ani zaklęć.

Niekiedy wśród takiego koliska milczących, stężonych zrywał się głos sumienia, głos litości, lecz taki ginął bez echa, takiemu ledwie szydercze mruczenie było jedyną odpowiedzią.

Niekiedy z jakichś sani, kibitki lub wózka dźwigał się na kulach cień mężczyzny i włókł się aż pod strażę grenadjerów, pod główną kwaterę. I tu huczał, i tu złotą epoletę okazywał i tu generałem się być powiadał i do cesarza się meldował. Napróżno. Kordon grenadjerów ani widział takiego, ani postrzegał, ani drgnął — a gdy natręt darł się na przód, pochylał ku niemu kratę bagnetów...

Noc zapadła dawno a Borysów wrzał ciągle, pienił się, jęczał. Nędza rozsadzała go, zalewała, darła i sama marła, mościła każdą piędź ziemi ciałami ludzi, kadłubami końskimi. Ze wschodu, drogą od Orszy, łańcuch maruderów na minutę nie rzedniał, nie ustawał, jeno coraz większą płynął niedolą,

coraz większem nieszczęściem. Nadomiar, łańcuch ten żadnego nie miał ujścia na zachód, bo nie dość, że go bagnety odpędzały od Borysowa, nie dość, że musiał krąg szeroki zataczać wokół miasta, lecz nadto dalej, na zachód, nową groźniejszą znajdował tamę, bo krąg ledwie pokryte nurty Berezyny i znów ścianę bagnetów, rozciągniętą wzdłuż pontnierskich biwaków. I łańcuch ten zlewał się w gromadę bezkształtną, w jedną zbitą masę wozów, koni i ludzi, w ruchomą, skowyczącą czarną plamę na wysrebrzonych mrozem polach.

I resztki gwardji coraz silniej musiały ścisnąć karabiny, coraz gwałtowniejsze odpierać napaści.

Gdy Borysów tym piekielnym wrzał zamętem, hen, od prawej strony, na gołoborzu pod lasem, w pobliżu Studzianki, inny roztaczał się obraz niedoli. Tam u czterech ognisk grzała się kolejną kompanij piechota, tam trzy ogniska obsiadali na zmianę żołnierze, czwarte zaś oficerowie. Tam, choć numery pułków także zginęły pod płachtami i wiechciami, choć i tam pod kubrakami, szubami, kaftanami i rozmaitemi szmatami, zniknęły od dawna szlufy, szewrony, akselbanty, obszlegi i szamerowania, jednak tam jeszcze trwał duch, trwała karność, tam jeszcze i ładunki były i broń i armaty, tam jeszcze dzielono się każdym kęsem chleba, tam pieczoną padlinę na równe rwano części, tam opa-

trywano sobie rany i odmrożenia, tam mówiono o spodziewanej bitwie.

Jedno może ognisko oficerskie mniej żywy brało udział w rozhovorach i zabiegach żołnierzy na gołoborzu pod Studzianką. Tu może częściej zapadała cisza grobowa, tu westchnienie było niekiedy jedyną i całą odpowiedzią na rzucone pytanie, tu odrętwienie sięgało głębiej. A jeżeli ponad tem ogniskiem jakaś wieść, jakaś nowina zawisła, jeżeli z niepomyślnych poszeptów żywsza wynikała rozmowa, jeżeli jakaś sprawa nie znajdywała rozstrzygnięcia, wówczas wszystkie twarze skupionych dokoła ogniska zbierały się ku miejscu, kędy na kupie szmat pólśiedział a półleżał chudy, zgarbiony nieco, mężczyzna w siermiędze, podpasanej generalską szarfą, w czapie baraniej, nasuniętej na oczy tak, że ledwie para siwych, a szronem porośłych wąsów wystawała mu ponad podniesionym i podwiązanym do góry kołnierzem kubraka.

Lecz mężczyzna nie skorym był do mieszania się do rozmów i dopiero gdy wprost doń zwracano pytanie, odpowiadał mrukliwie.

Upływały tak godziny. Cztery ogniska, mimo gorliwego podsycania gaśły, dymiły, czerwieniały. Wpobliżu ponure głosy placówek obwoływały się z rontami coraz ciszej, coraz żałośniej. Czasem wśród ciemni wybuchnął jakiś chwilowy rozgwar pomieszanych głosów, świadczący, że już i tu ma-

ruderzy dosięgnęli, czasem jakiś strzał karabinowy padł, czasem armaty za lasem warknęły i plunęły żelazem dla postrachu, a zresztą dwa jedynie monotonnie jednakowe odgłosy zakłócały ciszę, panującą na gołoborzu, pod Studzianką. Więc chrobot przeciągły, równy, idący od Borysowa i łomot tępy młotów pontonierskich od Berezy-ny. Zresztą cisza.

Już było dobrze po północy, gdy przed ogni-kiem oficerskim stanął jakiś smoluch w stosowa-ny kapeluszu.

— Rozkaz z głównej kwatery!! Rozkaz!! — zawołano przy ognisku. Jeden z leżących porwał się na równe nogi i człeka w siermiędze dopadł.

— Generale! Roman Sołtyk z rozkazem.

Człek w siermiędze poruszył się ociężale i spoj-rzał matowemi oczyma na mówiącego.

— A to ty, Wołodkowicz?!

— Roman Sołtyk z rozkazem!

— Z rozkazem! — rzucił przez zęby gene-rał. — No, gdzież jest!?...

Obdartus w stosowanym kapeluszu zbliżył się do generała i salutował.

Generał podniósł nieco głowę i spojrział ku ob-dartusowi.

— A, witam waćpana!... Phi! Dalipan tęgo się prezentujesz w tej szubie! Cóż tam!...

— Dywizja generała Dąbrowskiego lada chwi-la ruszy przez most, za Berezyne!...

Generał skrzywił się.

— A no bardzo miło... szczęśliwej drogi!

— Za tą dywizją ma rozpocząć natychmiast przeprawę twój korpus, generale!... I ruszyć w le-wo na drogę mińską...

— Za Dąbrowskim! — dorzucił generał.

— I tam się sformować, osłaniając przeprawę przed atakami Czyczagowa! Kawalerja nasza starła się przed chwilą z przednimi strażami pod Szkło-wem!... Marszałek Oudinot zmieni tu placówki i przygotuje miejsce dla głównej kwatery!

— Cóż więcej!?

— To wszystko, generale!

Generał zachnął się i wybuchnął.

— I razem głupstwo! Rozumiesz acan?! Po-wtórz to Sokolnickiemu, niech samemu cesarzowi zaraportuje, że Zajacek takie rozporządzenie ma za banialukę!...

Sołtyk pochylił głowę, oficerowie skupili się wokół generała. Ten odsapnął kłębem pary i ozwał się znów.

— Co mu się zdaje, że my nastarczymy tam-tym włóczęgom?!... Co Dąbrowski?!... Pod Mo-skwę nie chodził, głodem nie przymierał, wałęsał się i baki zbijał — to może raz prochu powąchać!... A zresztą, do milion, imć pan Dąbrowski może

w swoim sztabie Kniaziewicza wodzić, ale do Zajączka mu zasię!...

Generał usiadł i splunął. Przy ognisku zaległa cisza. Sołtyk w płomienie się zapatrzył i milczał.

Milczenie jakby uspokoiło generała, ostudziło.

— Tak ci jest! Rozgon jeden! Tchu nie dadzą złapać żołnierzowi!... Zapytaj no, acan, Blumera, jak go potraktowano dziś, gdy się o żywność upominał!... Gwardja ma tyle zapasów, że przeżuć nie może!... Wczoraj stos drew podpalili na wymarszu, a nam, przedtem, dostępu bronili!... Co, może inaczej?...

— Prawda! — Prawda!! — przyświadczył chór głosów.

— Ale kiedy zasłona skrzydeł, kiedy spodziewają się bitwy, to nas pędzają! Do stu djabłów, my także boków nie mamy z kamienia!...

— Czyczagow... — ozwał się niepewnie Sołtyk.

— I cóż Czyczagow! — zapalił się znów Zajączek. — Kto go wpuścił do Mińska, kto go nam pod samo źebro sprowadził?! Imć pan Dąbrowski!!

— Bronikowski, generale! — poprawił Sołtyk.

— Bronikowski jeden a Dąbrowski drugi! Niechże się z nim rozprawia!...

— Kazano mi...

— A no cóż, to się rozumie! Nie mam do włości rankoru! Siadaj! Pogrzej się! Daruj, że niema czem ugościć!

— Jest czem, jest generale! — rozległ się tuż przy ognisku raźny głos.

— Krasiński! — zakrzyknęli z wybuchem ukontentowania oficerowie.

Przybyły zrzucił worek z pleców pod ogniskiem i rozśmiał się.

— A co! Myśleliście, że nie wrócę! Imć pan Sołtyk! Witam!... Uf! Ażem się zagrzał!... I cóż tak na mnie poglądacie! Wołodkowicz! Bierz się do kartofli!...

— O! o!! Kartofle!! — mruknięto niedowierzająco.

— Powiadam, że kartofle to kartofle! Żywo! w popiół!...

Nazwany Wołodkowiczem jął się worka. Krasiński upominał go i strofował.

— Czekażcie, niezgrabiaszu! Najpierw chleb wyciągnij!

— Chleb!!

— No, pokażcie im, bo nie wierzą!... A teraz ostrożnie, bo mi rozbijesz gorzałkę!...

— Wiwat Krasiński!!

— Nic — nic!... Patrzcie! Sól!...

— Pokaż, Krasiński, pokaż!!

— Szymański, nie tłocz się!... A teraz baczność, panowie! Masło!...

— Gdzie? — Gdzie?!

— No tu, na skorupie!

Zebrani teraz dopiero spostrzegli, że Krasiński w mocno skrwawionej ręce trzymał złom jakiegoś garczka, wypełniony szczelnie masłem.

— Wiwat Krasiński! — Wiwat nasz ordonator! — Bodaj was, panie Józefie! — Ten ma głowę! — Ale skąd? — Co? — Jak?!

— Cóżes-ty, furgon cesarski rozbił?! — wmięszął się znów sam Zajączek.

— Według rozkazu, panie generale, jeno przed raportem, proponuję napocząć gorzałkę! Szymański, ukręć szelmie szyjkę! Wołodkowicz, tylko nie zablisko żaru, bo spalisz!...

Wołodkowicz osunął się na kolano i jął rozgarniać ognisko pałaszem, a miejsce dla kartofli gotować — butla tymczasem z rąk do rąk zaczęła przechodzić, a to poczynając od Zajączka i od Sołtyka.

Około ogniska wszczął się wesoły rozgwar. Krasiński dogadywał, odcinał się na przymówki żartobliwe, a Wołodkowiczowi pomagał w pieczeniu kartofli.

Sołtyk podsunął się do Zajączka.

— Generale! Czy mam czekać na odpowiedź?!

— Już pilno waćpanu!?

— Czas wracać!

Zajączek dźwignął ociężale ramionami.

— Cóż?! Niema odpowiedzi! Wracaj, kiedy wola!... Powiedziałeś!... No i ten... Koniec!

Sołtyk salutował generałowi, zamienił kilka uścisków dłoni z najbliższymi stojącymi oficerami, skłonił się wreszcie i znikł w ciemni, za biwakami.

— Sztabowczyk! — mruknął przez zęby ktoś u ogniska.

— Dobry oficer! — zauważył oschle Zajączek.

— Prawda generale! — dorzucił Krasiński. — No i on tam słodkiej służby niema!... Niech sobie z Bogiem chodzi po świecie!... Widziałem dziś gorzych!...

— Co — Kogo? — Powiadaj!

— Chyba gorzałki dacie i szmaty na przewiązanie łapy!

— Naści kawałek chustki!

Krasiński pociągnął z flaszy; odetchnął.

— Pochwaliłem się waćpanom, że mam w Borysowie znajomków, u których kwaterowałem w drodze do Smoleńska, znalazłem ich, jako żywo, i przez ciżbę nawet do izby gościnnej się dostałem. Tu sumituję się a wdzięcznej pamięci przypominam... Juści skutek był — bo jejmość za miotłę, a jegomość za kij!... A ja w strachu, za dukaty!... Targ był krótki! Bułka chleba, kura, masło, garść soli i świeć kartofli — dziesięć dukatów! Pożegnałem się grzecznie, zakląłem i niosę moje skarby. Aż widzę swoleżerzy. Dobra nasza, myślę, stryjeczny pan Wincenty generał musi być tu! Wślizgnąłem się między konie, jakiś poruczniczyna

mnie poznał i doprowadził. Pan Wincenty przyjął mnie w niewieściej jubce i kozuchu, dwie flaszki gorzały dał, ale jak mu o żywności zacząłem wspominać, to mi tak zezował na mój garnek, worek i kurę, że mierzwił mnie uściskał pana generała i w nogi. Bo szwoleżerzy, podobno, spijać się choć codnia mają czym, ale co jeść, to nie lepiej od nas. Wydostałem się na Borysów, skarby moje dźwigam i pomykam i nie zważam na skomlenia... Trzy razy mnie opadli... lecz uszedłem. Za czwartym razem nacisnęli mnie pod lazaretami. Worek na plecach przewieszony trzymam prawą ręką, w lewej garnek a kurę pod pachą. Wyrwali mi kurę z pod pachy! Bierz lichy — pomykam dalej. — Już się na wolniejszy przestwór wydobyłem — gdy, patrząc, karoca na płozach. Cztery tegie, karmne konie. Szóstoro eskorty z pochodniami! Myślę, marszałek! Gdzietam, to imć pan Różniecki!

Zajączek zaklął.

— Nastęczyłem się panu Różnieckiemu! Zdrów, cały! No, ale niema co robić! Wojna skończona!... Furgonik aby jeden wiezie za sobą... i jedzie do Warszawy!... No i ubolewa!

— Łotr!

— Ba! I już go w Borysowie niema! W moich oczach ruszył ku Berezynie, bo tam sobie drogę do generała pontonierów znalazł... co go na ponto-

nie przepawić zawczasu obiecał!... Zresztą spóźnił się, bo już mógł być być dawno za Wilnem, gdyby nie udręczająca gościnność pod Sienną jakiegoś przyjaciela. Sanie pana Różnieckiego jeno mi skrzyknęły przed nosem, a jam póty stał zdumiony, póki mnie maruder nie uderzył koszturą po rękę. Garczek mój poszedł w drobne kawałki i ledwie tę skorupkę zdążyłem unieść z masła, na resztę rzuciło się mrowie!...

Krasiński skończył i spojrzął po zebranych, lecz ci jakby nie słyszeli ostatnich jego słów. Aż Zajączek warknął ponuro.

— Mało kuli na takiego!

— Nie on jeden, generale!

— Cha, cha! Toć wiem! Paniczom, lalom zachciało się mundurków!

— Choćby Kamieniecki! — wtrącił Wołodkowicz.

— Adjutant od putyfony!

— Albo Kicki!

— No, tego smarkacza to ja jeszcze nauczę rozumu! — zagrział bas z poza pleców Zajączka.

— Pluń, Blumer, na psiarnię z pod „Blachy“...

— Dobrze, generale, ale najpierw temu smykowi w ślepie! Gołowąsów, dzieciaków sobie książkę minister naprzybierał do boku!... Sztab! Amfitrjona zabrakło, tedy czereda poszła w rozsypkę!

— Kniaziewiczna sprawa! On przecież wziął

dowództwo po Poniatowskim! Żeby na mnie trafili!... Ale, co po Różnieckim się nie spodziewałem!... Ten choć kataru nie udaje i na kontuzję nie stęka! Po łajdacku, ale szczerze!...

Wokół ogniska przebiegł domyślny uśmiech.

— Łatwo było dowodzić, póki głód z mrozem nie dławił! — ozwał się znów Blumer. — Choroba w porę się zjawiała! I to odrazu z karetą!...

Krasiński zaśmiał się cicho.

— Juści, przystojniej w karecie niż tu, na tej wydmie! Ale, panie pułkowniku, kartofli takich pewnie i w karecie niema!...

— Gadaj acan zdrów! Bądź pewien, że jak którego z nich zemdli to z przejedzenia!...

— Taki sobie krzywdy nie da zrobić! — bąknął przez zęby generał.

— Książątko!

— Powiadali, że trzy furgony zapasów z kucharzem ruszyło naprzód, aby księciu ministrowi drogę torować i gotować noclegi! — rzekł Wołodkowicz.

— A co! Mówiłem! — oburknął Blumer. — No i pewno ze szwadron co najteższy ułanów!! Dla eskorty książęco-kucharskiej mości!!

Zajączek rzucił okiem na swe nogi, owinięte gałganami.

— Myślałeś, że się Poniatowski w takie buty wystroi!... Cóżby damy powiedziały!

— Dałbym sobie rękę uciąć, że jadą w karecie!...

— W Smoleńsku jeszcze były!!

— Kartofle gotowe! — zakrzyknął Krasiński. — Dalej Wołodkowicz!... Oblicz po mendlu!... Sól do ładownicy, będzie solniczka!... Teraz po kromce chleba i po łyku!... Czekaście! A co z masłem?! Licho dla wszystkich! Proponuję, żeby je zostawić do okraszenia ostatnich dwóch!... O... widzisz Wołodkowicz! Generałowi dałeś takiego małego kulasa... Dorzuć że mu tego! Po sprawiedliwości.

Przy ognisku wszczął się zgietk. Ci nawet, co na poły zdrętwiali leżeli przy ogniu, żadnego udziału nie biorąc w rozprawach, — na zawołanie Krasińskiego podnieśli się skwapliwie i rzucili się do jadła.

Posilano się ze źle ukrytą chciwością, z rozkosznym drzeniem podnosząc do ust kartofle i parząc nimi usta, całą myśl skupiając w dotyku, w smakowaniu, w tyle upragnionem nasyceniu.

Cisza zaległa przy ognisku. Nikt ani chciał zabierać głosu ani słuchać. Każdemu najmilszym był tu chrzęst własnych żuchw.

Kartofle ubywały szybko — w butli chlupotała resztką gorzałki, chleb znikł, jedno masło było nie-
tknięte.

Aż Wołodkowicz ostatnie kartofle wygarnął z popiołu, przeliczył i zakonkludował:

— Po trzy!

— Jeden z solą i dwa z masłem! Skorupa będzie chodziła koleją! Generał zacznie!...

Niecierpliwy pomruk u ogniska dał znak przyzwolenia na rozrachunek Krasieńskiego.

Więc Wołodkowicz dał każdemu po jednym kartoflu, a gdy te w oka mgnieniu zczeszły, podał Zajączkowi skorupę z masłem i kartofel.

— Teraz z masłem!

Generał potarł zlekka kartofel o powierzchnię masła i podniósł go do ust.

— Rarytas!

Oczy oficerów śledziły bacznie każde poruszenie szczęki generała, przyczem cała ich uwaga była tak skupiona, tak ześrodkowana na skorupie masła, że ani postrzegli, iż tuż wpobliżu mignął się w cieniu jakiś nowy kadłub i nikt z oficerów nie zauważył, iż tuż rozległ się przytłumiony łomot kół i skrzypienie osi, a w ślad za nim jakiś długi, brunatny cień zarysował się u ogniska.

— Pułkownik Blumer! — obwołał Krasieński. Wołodkowicz podał Blumerowi skorupę z masłem i kartofel.

— Mości panowie! — szepnęła tymczasem cień, podsuwając się nieśmiało, lecz na ten szept nikt uwagi nie zwrócił.



— Uf! Tom się uraczył! — zarechotał Blumer.
— Następny! — mruknięto niecierpliwie.
— Major Ostrzeszowicz!...
— Mości panowie! — powtórzył cień, ukazując w pełni światła swój pałaszem podpasany ku-
brak i jakimiś strzypami sznurów okrążoną wy-
szarzaną czapę.

Zebrani u ogniska byli tak zajęci sobą, że gdyby nie Blumer, który z westchnieniem odwrócił głowę od Ostrzeszowicza, może i tym razem głos postaci przebrzmiałby nieusłyszany.

Blumer jednak postrzegł przybysza, wpatrzył się weń i huknął gniewnie.

— Kto tu? Co tu?!... Precz!...

— Mości panowie! Darujcie!... Toż nie poznajecie mnie?!...

Oficerowie złem spojrzeniem obrzucili natręta.

— Z Bogiem acan! — Nie ma nic! — Było! — warczały głosy stłumione. Krasieński popiołem zarzucił leżące pod ogniskiem kartofle, Ostrzeszowicz skrył skorupę z masłem pod połą kozucha.

Wołodkowicz wysunął się przed przybyłego.

— Do lazaretów! Dalej!

— Odpędzili! Dostępu niema!

— Nie nasza sprawa!

— Hej! Kto, u pioruna, maruderów nam za placówki wpuszcza! — oburzył się Zajączek.

— Kicki!!! — zawołały pomieszane głosy.

Zajączek na równe nogi powstał i, idąc ku przybyszowi, ze zdumieniem ogarniał nędzę książęcego adjutanta.

— Acan?! Acan tu?!

— Tak! — szepnął cię sinemi wargami.

— Jakże to do miljon!... Porzucili cię, czy jak? Ranny jesteś?!...

— Postrzał!... Ale ja tu do waszmościów!

— Hm! — Niema! — U nas także!!... — mruknięto, uprzedzając prośbę.

— Choć kawałek... może czego bądź!...

Blumer rozśmiał się pogardliwie.

— A co, koniny z prochem nie łaska!?... Ckni i w zęby kłuje!

Kicki wyblakłymi oczyma spojrzął na ciemną twarz Blumera i odparł z trudem.

— To nie dla mnie pułkowniku... to książę prosi... od wczoraj nic w ustach nie miał... a i wczoraj lichy...

Głos Kickiego zachrobotał i uwiązał w krtani.

Zajączek zwiesił głowę.

Przez chwilę zdało się, jakby dech zamarł w piersiach skupionych wokół adjutanta.

— Gdzie książę!? — zagadnął cicho generał.

Kicki wskazał na czarny kontur w oddali.

— Leży w karecie na pół przytomny!... Koń nam padł!... Dźbła furazu!...

Zajączek głowę mocniej zwiesił. Gromadka ofi-

cerów zakołysała się niepewnie. Gdy wtem Blumer chwycił Krasińskiego za ramię.

— Gdzie mój kartofel! Dawaj!

— Pułkownik!

— Dawaj, do stu choler! Należy mi się!

Krasiński sięgnął do popieliska. Blumer porwał za kartofel i do ręki adjutanta książęcego przy-
padł.

— Bierz, smarkaczu! Trzymaj.

Na to zawołanie wszyscy naprześcigi rzucili się do popieliska po kartofle.

— Bierz i mój! — i moje dwa! — No i ten!

Poła kubraka Kickiego wypełniła się kartoflami.

— To i sól mu dać!

— I masło niech, smyk, bierze!...

— Niech bierze!... I gorzałkę!

Generał wyrwał tymczasem głównię z ogniska i ruszył do widniejącego w oddali pudła karety. Blumer, Ostrzeszowicz, Wołodkowicz i Krasiński poszli za przykładem generała. Do wnętrza karety wpadły strumienie czerwono migocącego światła i ukazały twarz bladą, senną jakimś bólem, zaciętą w gorzkim załamie ust.

Kicki wspiął się po stopniu karety i poniósł flaszkę do ust leżącego.

— Mości książę! Dla pokrzepienia!

— Nie, nie chcę! Chleba kawałek!

— Są kartofle! Masło... sól!!...

— Bajesz, mój Ludwiku!...

— Na honor, o, tu są!...

Książę dźwignął się, dobył ręk z pod otulającej go płachty i łapczywie chwycił za kartofel, lecz równocześnie oczy jego spoczęły na siwej głowie, odkrytej tuż przy drzwiczkach. Kartofel wypadł z drżących rąk księcia.

— Zajączek! — rzekł cicho książę. — Tyś pewno nie jadł!... Bierz! Potrzebujesz sił! A cóż mnie i tak dobrze!...

B U N T

1807

Monsieur colonel Paul de Lacinskij! — przeczytał z listy adjutant u progu cesarskiej kwatery. Flahaut trącił Łączyńskiego.

— Panie pułkowniku, to pana proszą!

— Mnie?

— Z pewnością!

Łączyński pobladł lekko, poprawił nieznacznie pendentą i skierował się ku drzwiom gabinetu. Zebrani w antykamerze rozstąpili się z uszanowaniem — adjutant roztworzył drzwi i szepnął cicho:

— Na prawo.

Pułkownik znalazł się w małym pokoju przejściowym, poza którym, po stronie prawej, znajdował się właściwy gabinet.

Łączyński postąpił kilka kroków i stanął jak wryty — poprzez otwarte drzwi spostrzegł siedzącego przy biurku cesarza.

Napoleon podniósł głowę.

— Bliżej!

Pułkownik stanął przed biurkiem i wyprężył się jak struna.

— Jesteś Łączyński?

— Tak jest, *sire!*

Cesarz podniósł się, przeszedł parę razy pokój i rzekł nawpół do siebie:

— Łączyński! Bardzo dobrze! Bardzo dobrze! Zaczem przystanął raptownie i zagadnął:

— Cóż mi powiesz?!

— Mam zaszczyt najpokorniej podziękować...

Napoleon machnął niecierpliwie ręką i przerwał Łączyńskiemu:

— Wracasz z korpusu Dąbrowskiego?!

— Mam raport!

— Więc czegoś go nie dajesz?!

Pułkownik, zdetonowany tą prostą uwagą, ledwie że zdołał drżącemi rękoma wyciągnąć z zagnadza pismo Dąbrowskiego i podać cesarzowi.

Napoleon rozwinął papiery i jał je przebiegać szybko oczyma.

— Niedostatek! Brak amunicji! Zdaje mu się, że mnie jest lepiej! Ranny...

— Tak jest, *sire!*

Cesarz rzucił na pułkownika bystre spojrzenie, jakby chciał mu powiedzieć, że nie żądał odpowiedzi.

— Proponuje Giełguda! Musi mu ufać! Ale się spisał! Hm — hm! Dobrze — wybornie! Jedyń człowiek między wami wszystkimi! Rozumiesz! On i Wybicki! Powinni się byli Francuzami urodzić!... Patrzej! Toż i o tobie pisze! Tego mi właśnie bra-

kło! Zuch z ciebie! Bardzo się cieszę, że zasłużyłeś się w porę!

— Radbym lepiej!

— Co?! Aha! Dobrze! Jestem kontent z ciebie! Zostaniesz przy mnie.

Napoleon urwał nagle, zasunął rękę za mundur, zatrzymał się przed oknem i zamyślił się.

Łączyński stał wciąż wyprostowany, jak struna, nie rozumiejąc, czy posłuchanie zostało skończone czy nie.

Po chwili milczenia cesarz odwrócił się i, jakby przypominając sobie dopiero pułkownika, zapytał raptownie:

— A Łączyński! i cóż mi więcej powiesz?

Pułkownik poczerwieniał, daremnie szukając przystojnej odpowiedzi.

Cesarz tymczasem przeszedł się znów po komnacie, zażył tabaki i ozwał się:

— Zimno — mróz! Kraj biedny! Co?!

— Wyniszczony wojną, *sire!*

— Bezładem, próżniactwem, niedołęstwem! A tobie się zdaje inaczej?! Czemu nie mówisz?

— Najjaśniejszy panie! — zaczął zdławionym głosem pułkownik, lecz zanim ponownie zaczerpnąć zdołał powietrza, do komnaty wpadł jak wichura generał Dorsenne.

Cesarz, na widok wzburzonej twarzy generała, poruszył się niecierpliwie i rzucił przez zęby:

— Czego?!
— *Sire!* Gwardja wypowiedziała posłuszeństwo!

— Co?!
— Tak, *sire*, bunt! Stała pod bronią — nie słucha rozkazów!

Cesarz roześmiał się sucho:

— Dorsenne — oszalałeś!

Generał dźwignął rozpaczliwie ramionami i rzekł z wybuchem:

— Bodajbym oszalał raczej — zanim tu przybyłem z tą wieścią!...

— Powiadaj — cóż?

— Od bitwy iławskiej były szemrania! Zbierało się — czyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy! Dziś rano zażądano chleba!...

Dorsenne odetchnął ciężko i głos zniżył:

— Zaalarmowałem wszystkich oficerów, złożyłem raport marszałkowi Berthier, marszałek ruszył natychmiast. Przemówił! Zaklinaliśmy wszyscy!... Błagaliśmy! Groziliśmy zdziękowaniem! Napróżno! Grenadjerzy pierwsi dali hasło do wystąpienia... Ani na włos ustąpić z żądań nie chcą!

— Z jakich żądań?

— Domagają się albo marszu powrotnego do Francji... albo...

— Albo?!

— Albo chleba!

— I cóż wy na to?!

Dorsenne strzepnął rękoma.

— *Sire*, oddziały furazerów powróciły dziś z próżnemi rękoma!

— I czegoż tak późno przychodzisz?

— Najjaśniejszy panie, pragnęliśmy ukryć przed tobą krnąbrność, pragnęliśmy ocalić w twych oczach honor gwardji! Boć to gwardja, *sire!*

Dorsenne umilkł. Przez chwilę słyhać było w komnacie tylko ciężki oddech generała i głuchy charkot, rozsadzający mu piersi. Łączyński stał jak wryty, ledwie mózgiem ogarniając grozę hiobowej wieści.

— Możesz odejść, Dorsenne! — rzekł nagle Napoleon głosem, nie zdradzającym żadnego wzruszenia.

Generał podniósł ku cesarzowi krwią nabiegłe oczy, uszom własnym nie wierząc.

— Zaraz do was przyjadę! — dodał Bonaparte.

Dorsenne zatoczył się, zadzwonił ostrogami w niezgrabnym ukłonie i ze ślepem posłuszeństwem, które zdało się każdym jego ruchem kierować, wyszedł z komnaty.

Cesarz spoglądał przez chwilę ku drzwiom, które się za generałem zamknęły, zaczem spojrzął ku stolikowi, na którym leżała szpada i kapelusz stosowany, i rzekł spokojnie do Łączyńskiego:

— Podaj mi szpadę!

Pułkownik pośpieszył spełnić rozkaz.

— Kapelusze! rękawiczki! — rozkazywał dalej Napoleon.

Cesarz zasunął szpadę, nacisnął kapelusz i jął wdziwać rękawiczki.

Łączyński z zapartym oddechem, każdy ruch Napoleona śledził. W oczach mu się mroczyło z ponurych domysłów, które wrzały mu pod czaszką, szarpały jego sercem, a przejmowały najstraszniejszymi przecuciami.

Tam bunt! Bunt rozszalały, nieokielznany, który już potargał więzy subordynacji, który marszałkowi śmiało stawiać czoło! A tu — on cesarz — chce do niego jechać, chce dobrowolnie wpaść między zdemoralizowane szeregi żołnierzy?!...

Napoleon zapiął ostatni guzik rękawiczki i pewnym krokiem jął zmierzać ku wyjściu. Pod Łączyńskim nogi się ugięły, krew trysnęła mu do twarzy.

— Najjaśniejszy panie! — zawołał drżącym głosem pułkownik.

Cesarz obrócił się zdumiony.

Łączyński padł do nóg Napoleonowi.

— Najjaśniejszy panie! Ty nie możesz tam jechać! Tam bunt! Nie jedź, *sire!* Jam szalony! Tę jedną wyświadczyć mi łaskę! Weź ze mnie epolety, odbierz krzyż — a zostań!

Napoleon położył rękę na ramieniu Łączyńskiego.

— Nie zapomnę ci tych słów! Wstań! Chcesz, abym się bał moich dzieciaków?! No! Wstawaj! Pojedziesz ze mną! Dalej!

Cesarz wyszedł szybko do antykamery, pułkownik podążył za nim.

Napoleon rzucił rozkaz Mamelukowi, ten wybiegł przed ganek i skinął na masztalery.

Podprowadzono konie. Mameluk podał płaszcz cesarzowi, Napoleon dźwignął się na siodło.

Łączyński bez pytania wskoczył na najbliższego konia. Chmara oficerów rzuciła się do koni.

Cesarz ani się obejrzał na adjutantów, uderzył konia szpicrózgą i wyciągniętym kłusem ruszył na przedmieście Ostróda.

Na przedmieściu tem wrzał bunt, bunt gwardji, bunt straszny! Ci, co przed dwoma tygodniami zaledwie, podczas śnieżnej zamieci, szli na oślep własnymi ciałami armaty zagwałdzać, ci, którzy, lata strawiwszy na marszach bojowych, bez wojny nie rozumieli życia, — którym kula była drużką nierozdzielną, karabin serdecznym towarzyszem, najmilszym całego dobytku sprzętem, a ładownica droższą od torby z sucharami, od mieszka wypełnionego żołdem — wypowiedzieli posłuszeństwo.

Dawni żołnierze Hocha, Klebera i Jouberta, — towarzysze linjowi Lefebvra, Bernadottego, Lan-

nes'a, Davoust'a i Ney'a — kanonierzy, pamiętający chudego kapitana z Tulonu, piechurzy, noszący na rękawach tyle szewronów, ile stopni miał do przebycia Bonaparte do tronu — ludzie ze stali, — bastjon plujący krwią, bluzgający miazgą, a twardszy od epoki — szaleńcy, których całą dumą był krzyż, całym szczęściem uśmiech cesarza, całym pragnieniem walczyć zań i zań konać, — czoło armji, przedmurze orłów napoleońskich, chwała Francji, — kolebka bohaterów, piastunka bonapartowych marszałków, duców i królów — gniazdo istot bezgranicznego poświęcania się dla jednostki, — tłum ślepców, dla których jedynym słońcem był Napoleon.

Gromada zaprawiona do pięcia się na Alpy, padania na piaskach Sahary, szamotania z morskimi falami, gromada zaklęta w nieubłaganie wytrzymałą machinę — ta gromada wypowiedziała posłuszeństwo!

Na podmiejskim polu Ostróda, kędy rozplaszczono szeroko obozowisko słało ubogie dymy ognisk — tam stało zwarte, skotłowane mrowie ludzkie — tam gwardje w bezładnych kupach, z bronią w ręku rozprawiały. Tam coraz groźniejszym pomrukiem odpowiadano na wezwania dowódców, — tam gwizdem odprawiono nawet Berthiera.

Nic tu nie znaczyły szumne nawoływania, nic

gorące słowa, mówiące o Lodi, Abukir, Austerlitz, Arcôl! Szalone poczucie krzywdy, tęsknota za ojczyzną, brak porywającego celu dla dalszego wojowania, a w ostatku nędza — targnęła karnością i uniosła ją na spienionym nurcie.

— Dosyć wojny! Do Francji chcemy! Do Francji! — huczały gwardje.

— Żołnierze! Jakże bez wawrzynów wracać będziecie?! — napomniał w gromadce strzelców konnych młody kapitan.

— Wolimy je znaleźć w gorącej zupie! — odparł śmiało stary wachmistrz.

— Wiwat!... Do zupy z wawrzynami! Prowadźcie nas do Francji! — huknęli strzelcy.

— Sami pójdziemy! — warknęli z boku grenadjerzy piesi.

— Pojedziemy! — poprawili grenadjerzy konni.

— Albo niech da „kleba“! — wrzasnął jakiś bas, w dragońskim kasku.

— Kleba! — Kleba! — zagrzmiały gwardje, podchwytyjąc z zapalem znany im wyraz.

— Cała dywizja ruszyła na furazę! — tłumaczył inny oficer strzelcom pieszym.

— Cicho tam! Patrzcie go! Sztabowczyk! Lala najedzona! Precz!

Oficer ustąpił pośpiesznie.

— Wracamy i koniec!

— Niech żyje Francja! Niech żyje „kleba“!

— Wiwat!

Płomień buntu z sekundy na sekundę rósł. Już pułki zmieszały się z sobą, już bermysa bratała się z kaskiem, kask z czapą, czapa próbowała znajomości z zawojem mameluka — już ponad mrowie żołnierzy wychylać się zaczęły marsowe oblicza co tęższych, a pewniejszych siebie...

— Vraincourt niech mówi! — wołali grenadierzy. — Hej, posłuchajcie Vraincourta!

— Czarny Michał niech radzi! Gdzie Czarny Michał? — dowodzili dragoni.

Zdemoralizowane szeregi już szukały sobie właściwych dowódców. Ostatni oficerowie znikali, uchodzili, rozumiejąc, że tu już nie słowa, lecz armaty i krwawa dziesięcina ofiar są potrzebne.

Lada oka mgnienie, a gwardja miała przejść od protestu, od pogrózek do czynów, lada chwila miała się narodzić wywrotowa myśl, inicjatywa drogi do buntu, gdy naraz tłum zakotłosał się nerwowo.

— Mały kapral jedzie! — ozwały się liczne głosy.

— Niech jedzie — i jemu powiemy!

— Niech wie — kusajda!

— Dosyć hecy!

— Na księżycyby chciał wleźć!

— Kurdupel!

— Jak to śmiga!

— Będzie o ambicji gadał!

— Stare bajdy! Niech da najpierw „kleba“!

— Trzymać się ostro!

— Nie ugryzie — smyk!

— Ciekawe co powie!

— Zakrzyczeć go!

— Po co? Może się wygadać ostatni raz!

— Hej tam! Macie go!

Zaledwie wszyscy żołnierze zdolali dojrzeć nadjeżdżającego cesarza — ten w pełnym galopie wpadł między zbuntowany tłum, mając za sobą ledwie jednego Łączyńskiego.

Gwardje umilkły raptownie.

Bonaparte osadził konia, powiódł okiem dookoła i zawołał gromko:

— Cóż wy tu, smarkacze, za grymasy stroicie?

Zbuntowani spojrzeli po sobie. Odezwanie się cesarza przeszło ich pojęcie, osłupiło, zmieszało.

Wtem ktoś z krańca pisnął:

— Kleba!

— Kleba! Papa — kleba! — huknął w ślad za tym głosem tłum żołnierzy.

Bonaparte roześmiał się, spojrział pogodnie ku zbuntowanym i uderzył zlekka szpicrutą po koniu.

— „Kleba?!“ Eh bien — *niema!* — ozwał się cesarz i zawrócił konia ku miastu.

Śmiertelna cisza zaległa wśród zbuntowanych,

aż naraz sześć tysięcy piersi drgnęło, sześć tysięcy twarzy trysnęło rozradowaniem, sześć tysięcy czap, kasków, bermyc i zawojów uniosło się ponad głowami zdemoralizowanych, sześć tysięcy głosów uderzyło całą piersią uciechy, zadowolenia, szczęścia!

— Vive l'empereur! — Niech żyje mały kapral!

— Z nim i za nim! — Vive l'empereur! Do obozu! — Na miejsca!

Zawołania te biegły za cesarzem, póki nie zniknął na zakręcie drogi.

Gwardje wracały powoli do obozu, gawędząc, żartując, a pilnie salutując napotykanym oficerów.

Na miejscu buntu pozostali tylko dwaj niedoszli przywódcy: Vraincourt — grenadjer i Czarny Michał — dragon.

Aż Vraincourt spojrzął z pod oka na Michała, a Michał na Vraincourta — wreszcie westchnął Vraincourt, westchnął i Czarny Michał.

— Cóż ty?! — bąknął Michał.

Vraincourt machnął ręką i bermycę na oczy nasunął.

— Powiedział!

— Bodaj go!

— Aż człeka!... Co?!

— Nie gadaj, bo mnie tu!...

— Pyskowaliśmy!

— Tfy! Jakby można było bez niego!

— Trzeba do audytora!

— Niech nas zaraz rozstrzelają!

— Muszą!

— Idźmy!

— Michał — jak on to powiedział?!

— „Cóż, wy smarkacze?“

— A myśmy chcieli do Francji, jakby można bez niego!

— Łby takie dwa zakute!

— Nikczemne!

— Vraincourt!

— He?

— Myślę, że tego rozstrzelania za to szelmostwo będzie mało!

— Pewnie, powinniśmy dyndać!

— I to bez sądu!

— Trzeba się rzetelnie oskarżyć!

Bunt był skończony.

B A T E R J A

1814

Piętnastego lutego, główna kwatera w Meaux. Napoleon, po zwycięskich bitwach pod Champaubert, Montmirail, i Vauchamps, dowiedziawszy się o marszu księcia Würtemburskiego na Paryż, gotował się do krwawego skoku, do przecięcia drogi nieprzyjacielowi pod Montereau.

Rozkazy były wydane. Marszałek Victor parł już całą siłą swego korpusu na Surville. Oudinot szedł od lewego skrzydła. Victor skradał się do Wittgensteina w Provins. Piechota gwardji z Victorem podążała dla pośpiechu na wozach.

Meaux wrzało ostatnimi przygotowaniem, łomotało odgłosem galopujących ordynansów, ostatnimi pobudkami, dźwigało resztki kawalerji, a rozbrzmiewało zadufaniem nowem, nową wiarą. Toż cztery dni ostatnie wróciły Bonapartemu wodze, znów mu świetnością ruchów zajaśniały, jak ongi nad Adygą. Toż Blücher, Sacken i York już trupami zasłali pole, toż dziesiątki sztandarów zdobytych i tysiące niewolnika ciągnęło ku stolicy Francji, na świadectwo wskrzeszonej mocy bona-

partowej, toż już nawet Metternich potulniejsze pisma stylizował do pana Caulaincourta!

I rozbrzmiewało Meaux szczękiem oręża i szemrało butnie nadziejami jutra i rozpowiadało sobie całą planów napoleońskich tęgość i na dobre wróżby strzemiennie spełniało wiwaty.

Aż naraz, w tłum sztabowy, zbity przed pałacem biskupim, w którym Napoleon mapy swe rozpostarł, wpadł kurjer z raportem. A raport ten był straszny, bo ledwie dosięgnął drzwi cesarskiego gabinetu, już spłynął ku sztabowi ponurą wieścią: — Soissons wzięte!!

Soissons! Strażnica Aisne'y, jedyny most, jedyna ku Laonowi przeprawa! Soissons — cztery tysiące załogi — czterdzieści armat!... Poddano się?! Nie, — uciekło!... Hańba, która w dziejach wojsk napoleońskich miała tylko dotąd jedno imię przekłętę — Dupont! Tak, od czasów Bailenu hiszpańskiego, nigdy orły cesarskie, taką się nie okryły sromotą! Soissons wywiesiło białą chorągiew! Generał Rusca się poddał!!

Rusca — oficer mężny, generał hardy, złożył broń w chwili, gdy sam Napoleon był tuż, w Meaux, gdy gotował się do stanowczego ciosu! Złożył broń przed korpusem Wintzingerode, miast stać się dlań zgubą, zaporą nieprzebytą, miast najpierw najcięższe przetrwać oblężenie — a potem raczej w gruzach się zagrzebać, niż ulec!



Cesarz miał przekłety raport w ręku, a własnym oczom nie wierzył. Księżę Neuchâtelu, dla złagodzenia burzy, szalejącej już w skurczach twarzy Napoleona, bąknął coś o przeważających siłach nieprzyjaciela.

Cesarz szarpnął się:

— Dość! Aresztować nikczemnika! Pod sąd polowy, za wydanie miasta, za zdradę! W dwadzieścia cztery godzin, żeby mi był rozstrzelany.

Berthier skłonił głowę w milczeniu. Cesarz cisnął raport na ziemię i piorunującym wzrokiem zmierzył wyprostowanego pod drzwiami kurjera, oddawcę nieszczęsnego raportu.

— Gdzież jest ten tchórz!?! Ten łotr? — zagadnął Napoleon chropowatym, warczącym głosem.

— *Sire!*... — jęknął zalekniony kurjer.

— Gadaj do pioruna!?! Gdzie Rusca?!

— Generał poległ na bastjonie od pierwszej salwy!...

Napoleon wzrok ku ziemi zwrócił.

.

Wyzwanie księciu Württembergskiemu było rzucone, — Napoleon ruszył ku Monterau, lecz tego samego dnia rozkaz nowy dosięgnął marszałka Mortier.

Soissons odebrać nieprzyjacielowi, poczem zawiadomić natychmiast księcia ministra wojny w Pa-

ryżu, aby ku obronie i zabezpieczeniu placu, naj-
energiczniejsze przedsięwziął środki, i aby na do-
wódcę wypróbowanego mianował generała.

Rozkaz ten, trudny z pozoru dla Mortiera,
a nieskończenie łatwiejszy dla księcia Feltr zgoła
innym się okazał w rzeczywistości.

Wintzingerode, otrzymawszy w Soissons nie-
pomyślne wiadomości od Blüchera, już na trzeci
dzień ustąpił ze zdobytego miasta i cofnął się do
Reims. Marszałek więc bez wystrzału stanął już
dziewiętnastego lutego nad Aisne'ą, a w dwa dni
później adjutant ministra wojny, księcia Feltr, zje-
chał do Soissons na inspekcję murów i fortyfikacyj.

Mortiera już inny rozkaz dosięgnął i dźwignął
ku Meaux — minister wojny zaś, rozpoczęte przez
adjutanta, dzieło szybko doprowadzał do końca.
Więc szefowi bataljonu, inżynierowi Saint-Hillie-
rowi polecił co tchu umocnić wały, opatrzyć mury,
przedpierścienie dla baterji wznieść, a przekopy po-
głębić, — więc na załogę wysłał bataljon nowosfor-
mowanej piechoty, urzędownie nazwany *regiment
de la Vistule*, a z nim osmdziesięciu eklererów
i osmnaście armat z dwoma granatnikami, a nadto
trzy tysiące gwardji narodowej gotował do drogi.
Już nawet artylerja otrzymała dowódcę w osobie
pułkownika Strolsa, już nawet adjutantem-komen-
dantem, został butny oficer Bouchard.

Soissons, z dnia na dzień odzyskiwało swoją
moc strażniczą nad mostem Aisne'y.

Szybkie decyzje ministra zwolniały raptownie
i to wówczas, gdy już tylko odzyskanej fortecy
brakło dowódcy. Lecz istotnie wybór nie był ła-
twym. Co dzielniejsi, a samorzutniejsi generałowie
byli bądź przy cesarzu, bądź zajmowali różne wa-
żne punkty, w Paryżu zaś, choć się roiło od buljo-
nów i haftów generalskich, lecz brakło takich, któ-
rzyby dali radę skomplikowanemu dowództwu,
podczas możliwego oblężenia, a którzy nie podda-
liby się chęci zażywania wczasu.

Kłopotał się więc Clarke, a rozmaite ważył
kandydatury, gdy niespodziewanie doszła go wia-
domość o bohaterskiem zachowaniu się generała
Moreau w Auxerre. Trzydziestu dragonów au-
strjackich zażądało od tego mężnego generała, aby
wydał im miasto, — Moreau obrzucił dumnym
spojrzeniem parlamentarzów i odparł, — „mia-
sta będę bronił, aż do śmierci!“

Clarke rozpromieniał, — oto generał jakiego
cesarz chciał mieć w Soissons! Może lepiej byłoby,
aby się nazywał inaczej, aby nie przypominał sław-
nego spiskowca i wroga Napoleona — ale bodaj
dorównywał tamtemu męstwem!

Wprawdzie, gdyby minister uważniej przeczy-
tał raport o wejściu nieprzyjaciela do Auxerre, —
to może uderzyłoby go, iż ten sam Moreau, naza-

jutrz po udzieleniu tej rycerskiej odprawy dragonom, na widok nadciągającego korpusu austriackiego, nie tylko na śmierć, ale nawet na parlamentarza nie czekał i wyniósł się z miasta zgodnym sposobem... bo nie wystrzeliwszy ani razu. Książę Feltr atoli tak dalece w raport się nie zagłębiał — asumpt z hardych słów generała Moreau wziął i, poruczając mu stanowisko komendanta, zalecił gorąco, aby bronił Soissons z tą samą mocą i hartem, który już w Auxerre objawił.

.
Moreau spadł jak burza do Soissons. W godzinę wszystko zlustrował, wszystko zganił, zarządzenia niedopełnione przeinaczył, dwóch poruczników z eklererów do sztabu sobie przybrał, a wystosowawszy, za jednym pociągnięciem pióra, bombastyczny raport o zaniedbaniu, które zastał, o braku amunicji, o potrzebie przyśpieszenia marszu gwardji narodowej, o lichocie bataljonu piechoty, o nędznej artylerji — do śniadania zasiadł, tylko jednego szefa inżynierów, Saint-Hilliera, do stołu swego zaprosił.

Saint-Hillier, podczas śniadania, ledwie śmiał się z początku odezwać, takim go marsem przerażał Moreau — powoli jednak generał złagodniał, sam nawet szukać zaczął pogawędki, a wkońcu aż do zwierzeń się posunął.

— Musi być wszystko do ładów doprowadzone, do porządku! Od jutra wszystkich mieszkańców do wałów, na mury! Niech robią, muszą robić! Bataljon od świtu na musztrę i tak codzień! Stać nie potrafią uczciwie! I ten... ten ich pułkownik!... Ten — ten *Koszyński*! Całe szczęście, że ma przyjść gwardja narodowa, inaczej dziśbym wysłał zrzeczenie się zaszczytu dowodzenia taką komendą.

— Podobno to stary żołnierz, generale! — uważał Saint-Hillier.

— Stary żołnierz! I cóż z tego! Zbierany z całego świata! Jakieś okruchy pułków, strzępy, drzazgi, resztki! Słyszałeś pan na przegładzie — nawet kawalerzyści są! Gorzej, bo poprostu niewolnicy z austriackich i pruskich pułków!!

— Dobrowolnie się ofiarowali!

— Licha warta taka ofiara! Żołnierz musi być najpierw zlany, stopiony w jedno cielsko, musi być machiną, która na sekundę nie chybia, musi wrość w szereg, a każde skinienie dowódcy w lot chwytac, zgadywać! Musztry im trzeba — no, i na honor, będą ją mieli! Gwardja narodowa nadciągnie — pójdą precz z murów.

— Ten... ten ich pułkownik, *Kociński*, zaklinał się, że ma wybór starych...

Moreau zachnął się i przerwał ostro:

— Co mi pan! Wybór pójdzie na naukę plutonu! Rozumiesz pan!... Od szkoły żołnierza za-

czną! Ja ich nauczę dąsy stawiać! Albo ta artylerja!... Żal się Boże!... A mówili mi, że ten Strols niby zdolny oficer!

— Panie generale, — doprawdy, czyż to jego wina! Zamianowano go, dano dwadzieścia armat...

— Z pod psa!

— Właśnie!... No i ludzi, z którymi nawet rozmówić się nie może! Jest tam między nimi kilkunastu naszych kanonierów — ale zresztą, to nie tylko Polacy, ale i Sasi i Włosi i licho wie, jaka jeszcze zbieranina! Pułkownik Strols aż jest zdesperowany! Chciał nawet prosić pana generała, aby usunął tego starego kapitana, co to majorem się mianuje a pomimo nakazów Strolsa, własnym rozumem się rządzi.

— A co! Byłem tego pewny! Zobaczmy! Oficera innego pod ręką niema — ale zobaczymy! Owszem, o Strolsie słyszałem wiele dobrego! Dziś trzeba będzie jeszcze drugą sztafetę wysłać do hrabiego Daru o dwie nowe baterje! Bo, do licha, może tu być za parę dni gorąco!... Całe szczęście, że będziemy mieli komendanta-adjutanta Boucharda! Znasz pan Boucharda?!

— Nie mam zaszczytu, generale!

— Tęgi oficer — prawa ręka! Bouchard! Miałem go przy sobie już w Auxerre! Ma wielką przyszłość przed sobą! Baterja źle mi się sprawiła! Bouchardowi dałem ją na dwa dni! I co pan powiesz,

na trzeci dzień nawet wyciory w tempie mu chodziły na mustrze! Wielką ma przyszłość! On Strolsowi pokaże, on mu porządek zaprowadzi! Dziś, jutro, powinien już być! Bouchard! ho! Moja szkoła!

.

Tego samego dnia, o zmierzchu, do kwatery majora artylerji Wolińskiego, mieszczącej się w ustronnej uliczce w Soissons — wszedł pułkownik Kosiński z wielkim papierem w rękę.

Major, na widok pułkownika, podniósł się ociężale z za stoła, założonego jakimiś rysunkami.

Kosiński ucisnął krótko rękę Wolińskiego i rzucił trzymany papier na stół.

— Czytaj, majorze! Uracz się! Rozkaz dzienny! Piękny rozkaz! Pociesz się! Możemy sobie powinszować!

Woliński założył w milczeniu okulary i, przysunawszy się do okna, jął odczytywać papier. Kosiński mierzył tymczasem wielkimi krokami izdebkę, brzęczał pałaszem, ostrogami dzwonił a raz po raz, przystawał i ku Wolińskiemu poglądał, jakby odeń oczekując.

Major jednak czytał długo, ani jednym ruchem, ani jednym drgnięciem swej chudej, poźółkłej twarzy nie zdradzając jakiegoś wrażenia — aż wresz-

cie zakrztusił się gwałtownie i, odłożywszy papier, dobył kraciatej chustki i do ust ją przycisnął.

— I cóż pan na to? Cóż? — zagadnął niecierpliwie Kosiński.

— Wczoraj przemokłem znów i kaszel mnie dusi!

— Ależ — odparł porywczo pułkownik — ja mówię o tym... tym rozkazie dziennym!

— A — o rozkazie!

— I co pan o nim sądzisz?

— Cóż — nic! — odrzekł flegmatycznie major.

Kosiński poczerwieniał.

— Więc chyba nie doczytałeś go do końca! Przecież i dla ciebie są tam dusery nielada! Zaraz! O tu, na dole! — „Pułkownik Strols złoży mi szczegółowy raport o zmianach, któreby należało poczynić dla usunięcia nieładu i rozprzężenia, zauważonego przezemnie w drugiej baterji cudzoziemskiej!“... Chyba to jasne?

— Hm! I przydałoby się niejedno zmienić! Przydało! Zaprzęgi zdarte... lawety...

— No — więc waszmość nie masz wyobrażenia, że ci Strols buty szyje! Wiem od Saint-Hilliera! Prostu chcą ci odebrać baterję i czekają tylko na nowych oficerów, których tu już komenderowano!

Major spojrział ponad okularami na Kosińskiego i uśmiechnął się dobrotliwie.

— Mnie odebrać baterję?!

— Myślisz, że u takiego Moreau wiele trzeba! Co jemu do nas! Żaden z moich żołnierzy od pół roku żołdu nie odbierał! Co jemu! Parad mu się zachciewa, rewjów! Do kroćset, myśmy tu nie na rewję przyszli! Amunicji brak!...

— O, właśnie, — ożywił się Woliński.

— Psie szczęście! — Pod takiego salonowego generalika trafić! Byłeś świadkiem, jak mi wydziwiał! Żołnierze mu źle stoją! Tfy! — Chce mustry, to niech rekrutów sobie napędzi. Przed cesarzem lepszego szyku nie sprawiałem! Do moich mu za się! Jego prawo na bitwę prowadzić!...

Kosiński odsapnął ciężko, a zauważywszy, iż major zapatrzył się obojętnie wdał — dodał zgryźliwie:

— Waszmości, majorze, to nawet nie obchodzi! A powiadam wam, iż Saint-Hillier wcale wyraźnie mówił, że wam baterję odbiorą!...

Woliński drgnął lekko.

— Mnie odbiorą! Moją?...

— No tak, waszmości!... Strols musiał ci buty uszyć! Rozumiesz?!

Woliński kręcił głową niedowierzająco. Pułkownika oburzyła ta widoczna wątpliwość majora.

— Zobaczysz, że odbiorą! I cóż zrobisz!?...

— Nie oddam! — szepnął cicho Woliński.
Kosiński dźwignął ramionami.

— Et! Dzieciństwa ci się trzymają! Tu trzeba radzić — trzeba naprawdę okazać, że się w kaszy zjeść nie damy — że nie na to z Sedanu się przywlekliśmy, aby nauki brać! Tego jeszcze naszej doli brakło! Tamci, co pod Pacem z gwardji poszli za cesarzem, mają przynajmniej batalje — a my, tu, co?! Rumowisko! Gruzy!... I generał nowomodny!

— A niech sobie!...

— Cha — cha! Wam, majorze, wszystko jedno, ale, co mnie, żałość ściska! Claparède! Ten ci był! Ten znał! Róbcie co wam się podoba — a ja jemu nie pozwolę! Żołnierze mi całe popołudnie warczeli. Jeszcze trzeba im, żeby taki przyganiał! Butów niech, truteń, da najpierw! Dwa plutony leżą mi na gorączkę! W szóstym roku, gdyśmy się na Gdańsk pod Lefebvrem formowali, nie było takiej nędzy! Ja, na waszem miejscu, Strolsowi nosa bym utarł! Nawet wam stopnia zaprzecza, oczywiście — i kapitanem nazywa!

— I cóż szkodzi!

Kosiński się zaperzył.

— Daruj, majorze, kłaniam! Masz strawny żołądek! Widzę, że rad będziesz bodaj i dymisję wziąć! Może ci nawet po myśli, że ci komendę chcą odebrać nad baterją!

— Nie odbiorą!

— Przekonasz się waszmość, wspomniesz!

— Nie odbiorą! Nie odbiorą! — powtarzał z uporem major.

— Więc mnie, mnie nie wierzysz!! — wybuchnął pułkownik.

Woliński kiwnął z przekonaniem głową i, krztusząc się, wyjąkał:

— Wierzę, pułkowniku, wierzę — ale nie odbiorą, bo nie oddam! Nikomu nie oddam!...

.
I Napoleon taczał się między Sekwaną i Aisną. Co dnia innemu korpusowi sprzymierzonych wydawał bitwę i co dnia zwyciężał i co dnia, zwyciężywszy zaledwie, już gwałtownymi marszami przetrzucał swe pułki i wyrastał, niby z pod ziemi, tam, gdzie się go najmniej spodziewano. Daremnie Blücher szukał współdziałania Bülowa, daremnie Wintzingerode chciał się łączyć z Wittgensteinem a Schwarzenberg z Wredem, daremnie każdy z tych dowódców groził Paryżowi, daremnie o oskrzydleniu Napoleona marzył! Bonaparte wiał się, jak wąż, prześlizgiwał się między forpocztami nieprzyjacielskimi, kontrmarszami udaremniał połączenie się sprzymierzonych, unikał stanowczych rozpraw, a batalje mimo to staczał co dnia.

Blücher pienił się, zębami zgrzytał, boć widział przewagę sprzymierzonych armij, postrzegał nicość

czterdziestotysięcznego korpusu Bonapartego wobec trzystu pięćdziesięciu tysięcy koalicji a jednocześnie, co chwila, nietylko cofać się musiał, nie tylko ustępować, ale i uciekać sromotnie.

I słał Blücher kurjerów do Schwarzenberga, wyrzucał mu opieszałość, skarżył się swemu królowi na dyplomację, która w głównych kwaterach do rozkazów i dowództwa się wtrącała i kłał w duchu Metternicha i wszystkie jego mataczyny.

Tak trwało do dnia pierwszego marca. Aż Napoleon postanowił skończyć z Blücherem, zadać mu cios stanowczy, śmiertelny. I ledwie to Bonaparte zamierzył, ledwie rozpatrzył się w mapach a odebrał ostatnie raporty rekonesansów, już rzucił Berthierowi plan! Plan niezawodny, plan nieubłagany, potężny, genialny plan!

Mortier i Marmont ruszą naprzód ku Hartens i pędzić będą Blüchera wprost na Aisnę! On zaś, Napoleon, z Château-Thierry wysunie się ku Fismie i odwrót odetnie Blücherowi ku Reims. Aisna w tem miejscu mostów nie ma — jeden jest tylko w Soissons. Lecz Soissons jest bronione. Soissons nie puści Blüchera ani też nie dozwoli na odsiecz Bülowowi, który zostanie w Laon. Bezsilny, — bo na przeciwnym brzegu rzeki — Blücher albo będzie musiał przyjąć bitwę, mając za plecami rzekę, a więc zgubę niechybną — albo szukać dopiero przeprawy, a więc wykonać marsz flankowy,

wzdłuż rzeki, co znaczy, odsłonić bok na francuskie bagnety i ponieść klęskę równie straszną, równie nieuniknioną.

Wyrok został na Blüchera wydany. Jeszcze dni cztery — a Bonaparte zadać miał znów cios piorunujący, błyskawiczny, druzgoczący wszystkie rachuby sprzymierzonych, mający trwogą przejąć generałów koalicji, zabobonnym lękiem ubezwładnić ich żołnierzy i zgiąć karki hardym dyplomatom, odrzucającym propozycje hrabi Caulaincourta.

.....

I sztab cesarski aż drżał z rozradowania i szep-tem zwiastował sobie wielką nowinę, i z zapartym oddechem poglądał na odrzwia, poza któremi widniała, groźnym marsem przecięte czoło Napoleona.

Plan cesarski! Bonapartowy plan!

Już Mortier z Marmontem doszli do Oulchy, już warowali, już czekali znaku, aby w Blüchera ostrzami bagnetów się wszczepić, już sam Napoleon wysunął swe grangardy pod Racone.

Plan cesarski!

Blücher cofał się i czuł zgubę i rozumiał ją i miał przed oczyma. Był odcięty, odosobnionym. Wprost miał marszałków Marmonta i Mortiera, na lewo Napoleona, za plecami Aisnę i armaty Soissons!

Pogrom! Pogrom w obliczu korpusu Bülowa, który po drugiej stronie Aisny mógł być tylko bezsilnym, niemym świadkiem zagłady kwiatu pruskiej armji — i pogrom tuż obok żołnierzy Wintzingerode, daremnie szukających punktu oparcia, zlania się z Bülowem.

Daremnie Blücher rozsyłać chciał ordynansów — drogi były obsadzone przez Francuzów — daremnie szukał wolnego przestworu — daremnie Blücher do wytrwania zachęcał swe pułki — żołnierze pruscy mieli już w spojrzeniu swem świadomość nowej hańby.

Aż, nadomiar, sztabem pruskim wstrząsnęła wiadomość przerażająca. Marszałek zaniewidział! Blücher, jedyna nadzieja, jedyna ościć pruskich sztandarów, jedyny wódz, Blücher oślepl!

I rzucał się marszałek na posłaniu i zdierał nakładane mu przez medyków opaski i modlił się i przeklinał.

A tam, od gołoborza lasów, nad wstęgą Ourcq'i już wedety francuskie wpijały swe oczy w korpus pruski.

Pogrom!

.

Dzień drugi marca 1814 roku, przyniósł miasteczku Soissons nietylko chmury nieba i mgliste woale oparów, lecz i chmury na czole dowódcy

placu, generała Moreau. Pierwsze, napelniając szaryzną i wilgocią powietrze, smutkiem spłynęły i ku wałom i ku murom fortecznym i ku barwnemu sztandarowi nad kwaterą generała i ku srebrzystym akselbantom jego adjutantów, — drugie mrokiem okryły twarze żołnierzy, zniechęceniem brzmiały w ociążałych krokach sztyldwachów, w leniwie odzywających się bębnach a nawet psuły humor samemu adjutant-komendantowi Bouchardowi.

Ale bo też Moreau nielada miał przyczyny do niezadowolenia, do kwasów, do gniewu nawet. Ile dni był w Soissons, tylu gońców wyprawiał do Paryża, tyle raportów ognistych wysłał, tyle żądań gwałtownych wystosował do księcia ministra, tyle przedstawień energicznych a szeroko ugruntowanych.

Moreau miał rozkaz nietylko objąć dowództwo załogi Soissons — ale i tak samo miasto zaopatrzyć, tak mury i wały stężyć, tak baterje rozstawić i takim żołnierzy przejąć duchem, żeby tu, w Soissons, bodaj cała armja sprzymierzonych poszczerbiła sobie zęby, żeby tu, za Aisnę, ani kroku postąpić nie mogła, żeby tu w tem samem miejscu, orzeł cesarski znalazł dla siebie zmazanie wstydu niedawnego i sromoty zaznanej, dzięki temu... temu niedoładze Rusca!

Jakoż Moreau rozumiał swe zadanie i nie skąpił przygan swemu poprzednikowi i dziwił się gło-

śno lekkomyślności poległego Rusci i chwili czasu nie tracił!

Ale cóż, dobre intencje, mądre rozkazy, bystre spostrzeżenia generała rozбивały się o tę głuszę i pustkę, którą wiała droga do Damartin... i do Paryża!

Brygada gwardji narodowej, mająca nadciągnąć do Soissons nie pokazała się dotąd. Czteryście funtów prochu, których żądał Moreau nie nadchodziło, — oficerów artylerji, tak koniecznych do obrony ani było widać, — już nie mówiąc o innych przedstawieniach generała odnośnie bodaj dwóch szwadronów kawalerji, bataljonu saperów, armat, zaprowjantowania i potrzeb żołnierskich. Goniec za gońcem wyciągał i przepadał.

A przecież Moreau ledwie ostatkiem taktu hamował swój serdeczny gniew, ledwie wysiłkiem woli unikał zajścia z niesforną gromadą żołnierstwa, które się szumnie zwało w papierach *regiment de la Vistule* i z bandą obdartusów, uwijających się przy armatach.

Pojednawczego usposobienia oficer inżynierów, Saint-Hillier, odważył się zwrócić uwagę generała, że właściwie od tych żołnierzy wiele wymagać nie podobna, że nędza ich żre, żołdu od miesięcy nie oglądali, a jeżeli chcą się bić i będą się bili, to sami nie wiedzą o co, chyba o resztki zdrowia i życia.

To wystąpienie Saint-Hilliera naraziło go na

utrącenie względów generała i na przerwanie dalszej a tak pięknie zaawansowanej konfidencji. Miejsce Saint-Hilliera zajął zgodny i potulny Strols. I przed nim już tylko i przed swoim nieodstępny pułkownikiem, Bouchardem, zwierzał się teraz Moreau ze swych trosk, zamiarów i nadziei.

Gdyby gwardja narodowa nadeszła! Niech bodaj jeden bataljon przymaszeruje, a w ciągu dwudziestu czterech godzin Soissons dźwignie się, stanie się tem, czem być powinno! Cała ta banda *de la Vistule* zostanie rozbita na pół kompanje i wcielona do gwardji narodowej, że zamaryżować nie będzie mogła o żadnych fochach, no, i ten ich pułkownik, ten ich *Koszyński* poczuje, co to jest subordynacja a co porządek!... A gdyby jeszcze oficerowie artylerji — to i z tą zrobi się koniec! Może w gwardji, jaki artylerzysta się znajdzie! Byle gwardja narodowa już była, byle była nareszcie!! Bronić! Juści, bronić się trzeba! Bodajby tu, w gruzach, zagrzebać się przyszło, lecz, na honor, w godziwym towarzystwie, z żołnierzem karnym, gotowym do ostatniej kropli krwi walczyć pod swoim sztandarem, a nie z taką gromadą zdemoralizowaną, zdolną ledwie do dezercji, do wywieszenia parlamentarskiej chorągwi za lada atakiem! Niechby tu choć połowa była tych zuchów z Auxerre — wówczas nie żal byłoby i kulą wziąć!...

Nic też dziwnego, że gdy poranek dnia dru-

giego marca znów zawiódł generała Moreau i żadnej mu nie przyniósł wieści z Paryża i znów zapowiadał tę samą jednostajność dnia wczorajszego, tę samą zwłokę koniecznych reform, pogłądanie przez palce na niedołężne rządzenie się pułkownika *regiment de la Vistule* i toż samo bezradne potakiwanie słusznym żalom Strolsa na samowolę majora artylerji — generał Moreau niezwykle gniewny i chmurny zasiadł za stołem w swej kancelarji w domu merostwa.

Tu atoli był już, czynny zawsze, i baczny, Bouchard. Jedno spojrzenie generała i Bouchard już odgadł swego zwierzchnika, już rozumiał! Wielki arkusz papieru już rozpostarł, datę u góry arkusza zamasyżście wypisał, zaczęł ozwał się skromnie.

— Czy rozkażesz, generale, do sztabu, czy do księcia ministra?!

— Do ministra, mój Bouchard, — wprost do ministra! I ostro, to jest, stanowczo... możliwie najmocniej! Jesteśmy bezsilni!... Rozumiesz!

— Może raczysz podyktować sam, generale... byłoby niezawodnie lepiej wyrażone!

— Sam napisz, mój Bouchard! Nie mam głowy! Napisz mu, co możesz, byle z przekonaniem!!

Bouchard skłonił się potulnie i pochylił nad arkuszem. Moreau zażył tabaki, wyciągnął się na fotelu i zapatrzył melancholijnie w okno. Kance-

larję zaległa cisza, przerywana gorączkowem, urywanem skrzypieniem pióra w ręku Boucharda.

Upłynęła długa chwila. Do kancelarji wszedł służbowy adjutant i przeżył się pod drzwiami, czekając na zapytanie generała, — lecz Moreau, — spojrzawszy na zorane fałdami czoło Boucharda, machnął energicznie ręką ku adjutantowi — adjutant wysunął się cicho z kancelarji.

Moreau teraz z upodobaniem jął pogłądać na swego ulubieńca, śledził ze skupieniem każdy zawilszy wykręt, czyniony piórem przez Boucharda, całą grę myśli, odbijających się na ruchliwej twarzy adjutant-komendanta i cieszył się serdecznie, widząc jak raport rósł w oczach, jak kunsztownie kaligrafowanemi zdobił się perjodami.

Dopieroż kiedy Bouchard pióro odłożył i, stanąwszy przed generałem czytać zaczął! Moreau aż się roześmiał! Bo co za styl miał ten nieoceniony Bouchard, co za delikatność wysłowienia a jaką elastyczność i świeżość! No — a końcowe zdanie — toć istna perła!

I twarz generała rozpogodziła się.

— Wybornie, znakomicie! Pójdzie im to w pięty! Daj, niech podpiszę! A ty, mój Bouchard! Podpisz się, koniecznie się podpisz! I pieczęć! Na wosku, na wosku!... Ordynans na koń i niech rusza natychmiast!...

Bouchard jął pieczętować i adresować, Moreau

przechadzał się po kancelarji i wygwizdywał jakąś piosenkę.

Bouchard zadzwonił. Na progu stanął służbowy adjutant.

— Sztafeta do Paryża! Wybrać co najsprawniejszego ordynansa!

— Według rozkazu!

— Kto jest w służbowym pokoju?

— Pułkownik Strols, szef Saint-Hillier, pułkownik *Koszyński*...

— Po południu! — wmieszał się z boku generał. A gdy adjutant wyszedł, dodał: — Żadnych raportów tymczasem, żadnych rozkazów! Gwardja może jeszcze dziś nadejść!... Zresztą gdyby nie, to, mój Bouchard, zajmij się sam, mnie te rozprawy próżne za wiele zdrowia kosztują!...

— Uważam generale.

Moreau zatarł ręce.

— Jutro minister pismo odbierze! Tego mu chyba wystarczy! Jakbym widział, że zaraz do hrabiego Daru napisze! Całe ministerjum będzie miało o czym mówić!... No, mój Bouchard, możemy sobie powinszować!...

Bouchard nie zdążył przyznać racji generałowi, gdy do kancelarji znów wsunął się adjutant.

— Co to, czego znów?! — zagadnął niecierpliwie Moreau.

— Generale, pułkownik *Koszyński* ma ważny raport do zameldowania.

Moreau wydał policzki.

— Ważny raport! Słyszałeś pułkownika — po południu!

— Powtórzyłem to pułkownikowi, lecz ten nalega, że bardzo ważny raport zmusza go prosić!

Moreau rzucił się z gniewem na fotel.

— Zmusza go! Więc niechże przyjdzie! Czekam!... Ważny raport!

Adjutant cofnął się za drzwi — po małej pauzie wszedł pułkownik.

Moreau odpowiedział krótkim skinieniem głowy na ukłon pułkownika i zagaił oschle.

— Co masz mi pan do powiedzenia?

— Grangarda od Reims melduje zbliżanie się nieprzyjaciela!

Moreau podniósł niespokojnie brwi.

— Grangarda od Reims?!

— Tak jest, generale! Niezawodnie korpus Wintzingerode!... Nadto, od Laonu placówka piechoty widziała o świcie rekonesans huzarów pruskich...

— Pruskich huzarów! — powtórzył ze zdumieniem Moreau.

— Można przypuszczać, że Bülow równocześnie rusza! Wysłałem kompanję piechoty...

— Zupełnie niepotrzebnie! Powinieneś wie-

dzieć już o tem, pułkowniku, że do rekonesansów są eklererzy!

— Tak jest, generale, ale ponieważ nie mogłem dotrzeć do pana generała, a dowódca eklererów...

— Proszę się nie tłumaczyć! Należało zwrócić się do adjutant-komendanta!...

— Sprawa była pilna! Rekonesans...

— Ależ to nie może być! — wybuchnął raptownie Moreau. — Co mi pan tu wygadujesz!... Bülow! Wintzingerode!!... Powiedz, że podjazd którego z naszych marszałków!!...

— Książę Treviso! — zauważył cicho Bouchard.

— Ma się rozumieć, że to Mortier! — podchwycił energicznie generał. — No i nic dziwnego, bo dla twoich żołnierzy nasze wojsko także po nieprzyjacielsku wygląda!

Pułkownik pobladł.

— Generale! Większość moich żołnierzy pod Saragossą brała chrzest a pod Claparèdem...

— Słyszałem o tem! Co masz mi pan więcej do powiedzenia?!

— Pozwolę sobie przypomnieć znów o butach!

— O butach!! A to sobie wyborne! Mój panie, — nadewszystko prochu nam potrzeba, ładunków!...

— Mam po sześćdziesiąt na żołnierza!

— Zdaje się panu, że to wystarczy!?

— Na dłużej, niż tych murów!

— Cha — cha, więc aż tak dalece jesteś pewny! Nie mam żadnej dla pana odpowiedzi! Zechciej tylko pamiętać, że tu przybyłeś nie by rozkazywać, lecz słuchać rozkazów!

Pułkownik szarpnął pałaszem i, skłoniwszy się, wyszedł.

Moreau teraz dopiero dał upust swemu wzburzeniu.

— Bouchard! Słyszałeś! I myśl tu o obronie! Co? A jaka mina! Do równego sobie przychodzi! W ciągu godziny powinien być wydalony za mury, na cztery wiatry! I skąd taki do pułkownika doszedł! Pojąć nie podobna, co za myśl miał cesarz zatrzymywać tę czeredę po Lipsku! Zdrada w oczach mu łyska! Sądziysz?! Tak, tak, to nie pułk żaden, nie bataljon, lecz banda, dość tego herszta tknąć, żeby całą bandę do buntu doprowadzić! Nie — te buty są kapitalne! Tu wojna — oblężenie z dnia na dzień spodziewane, a conajmniej szturm, a jemu zachciewa się butów!! No, będzie miał buty! Na honor wstrzymywałem się, lecz dziś jeszcze raport — dodatkowy — do księcia Feltr wygotuję! I na dobitek przyśnił mu się Bülow i to razem z Wintzingerodem! Dać takiemu grangardy a do wieczora gotów zobaczyć całą koalicję pod murami Soissons! Mój Bouchard, to nikt inny tylko Mortier! Dobrze byłoby skomunikować się z marszałkiem! Może sam cesarz tu nadchodzi!?

— Bardzo być może, generale! Wyślę natychmiast eklererów!

— Hm, ale w stronę Reims, bo jeżeli to prawda, że od Laonu pokazał się oddział kawalerji.. w takim razie, skądżeby nasi mogli być za Aisną?!

— Istotnie, generale!

— Chociaż ani podobna brać tego na serjo! Bo skądby tu Bülow miał iść!? Przecież tu niema nawet czego dobywać, ani z kim walczyć! Ani gwardji, ani prochów! Nareszcie pewna przyzwoitość w wojowaniu obowiązuje!...

.
Pułkownik Kosiński tymczasem po ostrej odprawie, która go spotkała od generała ruszył wprost ku bramie reimskiej, tu sfukał porucznika Suchodolskiego, który tu służbę odbywał, zaczem, mając potrzebę wyrzucenia z siebie dławiącej go żółci, zawrócił na bastjon, ku baterji majora Wolińskiego.

Woliński był zajęty właśnie rychtowaniem armat.

Kosiński podszedł doń i uderzył go zlekka po ramieniu.

— Pozwól, majorze, na słowo!

— Ach... pułkownik!... Służę natychmiast!... Tylko z tym uparciuchem skończę!... Trzy funty prochu, szelma, łyka!... Do góry na czterdziesty piąty... Baczność!... Zatkanąć mu gębę!... Kopka,

lekko stemplem!... Teraz go sianem!... Bomba równo!... Oś do pionu!!... Dobrze dzieci!!... Dwa granatniki weźcie na „czołgające“, a dwa na „ostro przez metal“...

— Majorze! — upomniał niecierpliwie pułkownik.

Woliński z żalem odszedł od moździerza ku Kosińskiemu.

— Co rozkażesz, pułkowniku?! Daruj ale z tym grubasem największa męka! Tysiąc pięćset sążni macha przy nawiasie! Może tabaki?

Kosiński zbity z tropu groźniej jeno brwi ściągnął.

— Wracam właśnie od Moreau!

— Ach tak! — ozwał się machinalnie major, poglądając z uwagą na operujących przy armatach ludzi.

— No i, uważasz, zadał mi kłam!

— Proszę! — Poruczniku Romański, trzeba Baśce jeszcze ze dwa bale pod koła!

— Kłam mi zadał, powiada, że to podjazd Mortiera, że mi ludzie francuskich mundurów nie rozeznali...

— Czy być może!? — zdziwił się Woliński i znów do swoich żołnierzy się zwrócił: — Równo za koła!... Podbić!... O tak!!...

— Do czarta, masz waszmość osobliwy sposób prowadzenia rozmowy!

— Bo właśnie, pułkowniku, Baśka!... Od Lipska ani gęby nie roztworzyła, ma kanał okaleczony, obawiam się, żeby jej nie rozerwało!...

— Bierz ją lichu! Waszmość, widzę, ani na włos nie straciłeś na fantazji, a mnie już za gardło ściska! Dosyć mam tej służby!

Woliński spojrział uważnie na pułkownika z poza okularów.

— Dosyć! — gorączkował się Kosiński. — Co sobie taki myśli! Strzymałem się, lecz, do pioruna, w oczy mu to powtórzę! Wolę precz sobie pójść, niż takiemu Moreau ulegać!

Major westchnął i głowę zwiesił.

— Przyszedłem, abyś waszmość rzecz pojął i póki czas się zastanowił! Już ja go zgaduję! Na gwardję czeka, a niech ta się pokaże, dopiero z pazurami do nas pójdzie.

— Pewnie — pewnie!

— Dziś mu tedy powiemy! — Albo — albo! Albo zmieni postępowanie albo ja rzucam bataljon a waszmość baterję.

— Ja, ja mam rzucić baterję!

— No, innej rady niema! Buntować ludzi nie podobna! My dwaj mamy prawo, ale gdyby żołnierze także... Głupia awantura!... Taki nazwałby nas jeszcze zdrajcami! Skończone! Dziś podajemy się do dymisji...

— A moja baterja!?

— Niechże się nią Moreau udławi!

— Nie, pułkowniku, tak nie można! Baterja! Moja baterja!

— I cóż z tego! Wolisz czekać aż tu lada smyk z Saint-Cyr sprzątnie ci dowództwo!

— O, nie sprzątnie, pułkowniku! Zaraz służę... tylko muszę do „austriaka“...

Kosiński chciał potokiem wymówek i napomnień zarzucić Wolińskiego, lecz ten już był w przeciwnym końcu bastjonu przy granatniku.

Pułkownik zachnął się pogardliwie i zawrócił z bastjonu na dół, ku bramie reimskiej.

Nigdy jeszcze pułkownikowi służba tak nie dokuczyła. Toż bywał i głód i nędza najokrutniejsza, a przecież mimo to duch w piersiach kołatał — a teraz nic krom pustki, głuszy i żółci! Wojowanie takie nastąpiło, że już ani za Ren się dostać! A nadomiar jeszcze ten Moreau! Juści, do kaduka, żeby Woliński był inny, toby można rozumu go nauczyć! Lecz cóż ten mazgaj jak pijany płotu swej baterji się trzyma!

Pod bramą spotkał Kosiński szefa inżynierów Saint-Hilliera, a że od dni kilku był z nim w lepszej komitywie, zaczął przed nim gorycze swe wywodzić. Szef podzielał zniechęcenie pułkownika, a nawet poszedł dalej, bo wręcz oświadczył, iż ta cała kampanja źle się musi skończyć.

— Bo jeżeli tacy jak Moreau będą rządząli!

— Nie to, pułkowniku, ale zważ na przemagające siły koalicji!

— Phi! Cesarz nie takim dawał radę!

— Otaczają zewsząd, cisną!

— Jedna batalja uczciwa...

— I nasza armja może być doszczętnie rozbita!

— Jeżeli cesarz nie będzie sam dowodził...

— Lecz pozwól, pułkowniku, cóż cesarz może ze czterdziestoma tysiącami wobec czterech kroć!?

Pułkownik poczerwieniał.

— Wszystko na miazgę rozbije, na strzępy porwie!

— Ostatek własnych żołnierzy!

Kosiński zmierzył Saint-Hilliera piorunującym spojrzeniem, lecz zanim odrzec zdołał, tuż za bramą rozległy się alarmujące dźwięki trąbki, a w ślad za nią bezładne strzały karabinowe.

Pułkownik a za nim Saint-Hillier rzucili się ku murom i tu ledwie oczom własnym wierzyć mogli. Oto w dali, jak okiem sięgnąć aż ku Fisme i wstędze Aisny szła wielka, szara masa, szła, wysuwając na wsze strony ciemne pasma, szła wprost ku Soissons, następując na cofające się ku murom grangardy i strasząc je bezładnym, rzadkim ogniem karabinowym tyraljerów.

Trąbka alarmowa grała bez wytchnienia, w okamgnieniu wskroś przejęła miasto, pod broń porwała rezerwy bataljonu *de la Vistule*, postawiła na nogi

oddział miejscowej gwardji narodowej, i wypłoszyła z kwatery nie tylko adjutant-komendanta Boucharda, ale i samego generała Moreau.

Cały sztab zebrał się na bastjonie, cały sztab lunetami ścigał mrowie nadchodzącej armji.

— Wintzingerode! — Wintzingerode! — powtarzano z przekonaniem dokoła Moreau i snuto fantastyczne domysły, chcąc odgadnąć przyczynę marszu Wintzingerodego na Soissons! Toć przed dwoma tygodniami sam, dobrowolnie z Soissons ustąpił! Na cóż więc wracał!?!... Czego chciał?! A może Mortier zajął mu tyły i pcha go! Hm! Plan marszałka byłby ryzykownym!

Jeszcze ani Moreau ani sztab nie zdołali ani wyrozumieć planu Wintzingerodego ani odgadnąć czy na oblężenie idzie, czy tylko szuka dla siebie wolnego przejścia, gdy nagle, od strony bramy la-ońskiej, nadbiegł ordynans z raportem od kapitana Zielińskiego.

Moreau rzucił okiem na raport i drgnął. Bouchard pochylił się ku generałowi.

— Bülow — mruknął Moreau.

Zagadka została rozwiązana. Bülow i Wintzingerode, rozdzieleni Aisną, postanowili się połączyć i dali sobie rendez-vous w Soissons! Żaden ani na minutę nie chybił... Szło im nie o zdobycie miasta, lecz o most, o zlanie dwóch korpusów w jedno

ciało, o wydostanie się z matni, w którą ich Napoleon lada chwila miał wciągnąć.

Moreau tymczasem wodził lunetą po kolumnach Wintzingerodego, patrzył, jak szare pasma wojska w oczach rosły, jak stroiły się kolorami, okrywały stałą, jak ostatni pluton grangardy uszedł, jak nareszcie dwa szwadrony dragonów porwały się ku miastu i zataczały kręgi wśród pobliskich zarośli. Moreau widział to wszystko i nie wątpił, że tam, na lewo, za Aisną, nie inaczej posuwa się Bülow — i ani słowem ozwać się nie potrafił! Boć Moreau mógł się spodziewać i spodziewał się nieprzyjaciela, nawet nie ludził się, aby łatwa czekała go rozprawa, — lecz ani mu na myśl nie przyszło, aby koalicja miała nań zwalić pięćdziesiąt tysięcy żołnierza! Aby na każdego z tych niedołączonych jego ludzi wypadło pięćdziesięciu nieprzyjaciół, a na każdą armatę po dziesięć dział!...

Generałowi zimny pot wystąpił na czoło. — Pytanie, „co robić“ — kołatało w nim każdym pulsem.

Wtem, kłąb dymu buchnął na sztab i na generała, a huk ogłuszający zatrzęsł posadami bastjonu — bateria plunęła żelazem.

Generałowi krew uderzyła do głowy.

— Kto się waży!?! Z czyjego rozkazu!?

— Generale — objaśnił z godnością Strols. — Niesubordynacja staje się niebezpieczną.

Moreau wpadł wprost na baterję.

— Kapitanie, *parbleu*, jak śmiesz dawać ognia bez rozkazu!? Gdzie kapitan?! Wołać mi kapitana!!

Z woalów dymu wysunęła się długa, chuda sylwetka.

— Major Woliński, do usług!

— Kto panu kazał strzelać!?

— Racz spojrzeć, generale, szwadron dragonów chciał przeciąć drogę naszym eklererom!...

Generał mimowoli podniósł lunetę — major miał słusność. Zapóźniony rekonesans eklererów sadził teraz poprzez gromadę koni i ludzi skotłowanych granatami baterji.

— Hm! Nie wiele im żeś pomógł, kapitanie... zachodzą im z drugiej strony!...

— Nic, panie generale!... Jeszcze!... Baczość! Romański!... Ostro przez metal!... Pal!...

Baterja rzygnęła wszystkimi ośmiu paszczami — eklererzy byli ocaleni.

Moreau uśmiechnął się łaskawie do majora.

— Bardzo dobrze, mój kapitanie...

— Major do usług...

— W spisach służbowych jest tylko kapitan! — upomniał generał.

— Nabijaj!... Granatniki na łuk!! — komen-derował znów major.

— Stać! *Parbleu!* Rozkazów czekać!...

— Odprzodkowują działa!... Baczość!...

— Co — gdzie!?

— Na lewo... od Aisny! Pal kolejną!...

Baterja zawyla kaskadami strzałów.

Moreau zdumiał się. Ten chudy kapitan, w obwisłym, wytartym mundurze przejął go jakimś szcunkiem, a większym może jeszcze niszczący skutek strzałów baterji. Toż tam, na równinie, już dziesiątki koni i ludzi tarzały się, pławiły we krwi.

— Generale, oto najoczywistszy dowód, co ja tu mogę z takim oficerem! — poskarżył się Strols. — Po swojemu komenderuje!! Żołnierze jego nawet komendy naszej nie rozumieją!

— Bacność! — Wysówki na dwunaste podniesienie! Wytrzymać cel! Lewandowski, do moździerza! — dowodził major.

Moreau odwrócił się plecami do Strolsa i ozwał się uroczyście do sztabu.

— Panowie! Powitaliśmy nieprzyjaciela jak należało — teraz wypada nam się zastanowić, co dalej czynić wypada!

— Biała chorągiew! Parlamentarz! — zawołano na bastjonie.

— Gdzie — gdzie!? — odpowiedziały bezładne głosy.

Sztab porwał za lunety. Lecz w tej właśnie chwili Woliński sam nad silnią celowniczą granatnika się pochylił, zaczem lont podpalił.

Granatnik bluznął kartaczami.

— Gdzie parlamentarz!? — badał Moreau.

— Niema go! — Był! — Był z pewnością!

.
Wintzingerode, mimo zajadłego ognia, którym groziła baterja Wolińskiego, — już w pół godziny miał trzydzieści armat na pozycjach, Bülow z przeciwnej strony ustawił dziesięć — Soissons miało ledwie razem dwadzieścia armat i to przeważnie cztero-funtowych.

Rozmowa dział zaczęła się niebawem i to rozmowa zajadła choć nierówna, bo na jeden strzał z Soissons, nieprzyjaciel odpowiadał dwoma, a w godzinę już trzema. I nic nie zaważyło, że baterja od Laonu miała takiego artylerzystę jak Leroux — nic, że Woliński ani jednego pocisku nie zmarnował — przewaga oblegających rosła, wzmagala się, potężniała. W mieście raz po raz wybuchać zaczęły pożary, kule już mury kruszyły, już kawałami wrywały i burzyły nasypy. Śmierć żniwo obfite zaczęła zbierać, ranni wypełniali lazaret.

Aż po południu Wintzingerode, śnać postrzegłszy, iż załoga musi być dosyć zdemoralizowana a mury wyżłobione, rozwinął kolumnę piechoty i rzucił ją do szturm.

Woliński zdwoił ogień, strychował nieprzyjaciela czołgającymi pociskami, — lecz na idące mro-

wie nie stawało mu już żelaza. Chwila była groźna. Moreau tracił głowę. Bouchard bąkał coś o potrzebie zabarykadowania wylotów ulic. Strols wyrzekał na bezsilność artylerji i złą jej obsługę. — Saint-Hillier daremnie się domagał podminowania mostu na Aisnie. W butnym jeszcze do niedawna i skorym do planów sztabie, zabrakło naraz rozkazów dla pułkownika Kosińskiego, który z piechotą swą stał dotąd beczynnie. Kosiński jednak, na widok idącej do ataku kolumny, nie czekał na rozkazy. Dwie kompanje grenadjerską i woltyżerską ustawił tuż za bramą, pod osłoną pierwszego nasypu i gdy kolumna nieprzyjacielska zbliżyła się już na odległość kilkuset kroków — zakomenderował: „broń w ramię i naprzód marsz“.

Żołnierze na tę osobliwą komendę, spojrzeli po sobie niepewnie i nie ruszali się z miejsca, sądząc, iż pułkownik pomylić się musiał.

Kosiński na widok nieusłuchania posiniał — dopadł najbliższego plutonu i huknął:

— Cóż wy, wycirusy! Baczność! W ramię broń! — Podwójny krok! Marsz!!...

Żołnierze wykonali tym razem ruch bronią, — lecz, mimo nawoływań gromkich oficerów, nie ruszali się z miejsca. Poprzez grzebień nasypu łyssały już nieprzyjacielskie bagnety.

Kosiński aż się zatoczył z pasji.

— Co wy?!... Myślicie, że wam będę dudka na

kościelnie obiecywał! Niema nic!... Rozumiesz jeden z drugim!?!... Marsz! No — buty dostaniesz!... Naprzód!...

— Po buty!! — zakrzyknęli żołnierze.

Kompanje ruszyły z miejsca. Gdy wspięły się na grzebień nasypu, niemal pod tchnieniem zwartych szeregów nieprzyjacielskich, Kosiński schował pałasz do pochwy i zakomenderował z flegmą:

— Na bagnety! Macie butów dwa magazyny do wyboru!...

Piechota Wintzingerodego na widok tej garści żołnierzy, garści, nie zdradzającej żadnego bojowego impetu, nie prowadzonej ani warczeniem bębnow, ani nawoływaniem oficerów, zawahała się, osłabła w marszu. Lecz kompanje jakby na tę chwilę czekały, bo zanim nieprzyjaciel je rozeznał, one już okryły się smugą ognia i, idąc w zawody z ołowiem, rzuciły się tuż za nim na szeregi nieprzyjaciół, wżarły się w nie bagnetami i drzeć a szarpać zaczęły.

Atak był odparty. Ale Wintzingerode nie dał tak łatwo za wygraną. Sformował rozproszone szeregi i po raz drugi do ataku powiódł. Tu jednak major Woliński zdołał już na rękach kanonierów znieść dwie armatki czterofuntowe i ukryć je za piechotą Kosińskiego. Skutek tego podejścia odjął Wintzingerodemu ochotę do trzeciego ataku, lecz równocześnie pobudził go do tem zaciętszego ostrze-

liwania miasta. Bülow z poza Aisny raził teraz silniej, pewniej niż przedtem. Przewaga artylerji rośła w oczach. Soissons już miało sześć armat zdemontowanych — dwudziestu pięciu kanonierów le-gło na lawetach.

Załoga miasta, mimo zwiększające się spustoszenia nie traciła ducha. A nawet przeciwnie, żołnierze bataljonu Kosińskiego, jakby dopiero ochoty i humoru nabrali, jakby dopiero trzeba im było piekielnego hukku na zgłuszenie w nich tego, co im chmurami zasnuwało czoła, co w usta w rozpaczliwe zaciskało skurcze.

Sztab jednak, otaczający generała Moreau, nie podzielał tej dobrej wiary, nie cieszył się ani z odparcia szturm, ani z raportowanych sukcesów artylerji. — Sztab rozumiał, że wobec pięćdziesięciotysięcznej armji ulec może, że bodaj czy każdy gwałtowniejszy opór nie utrudni tylko warunków porozumienia, czy nie powiększy grozy położenia, czy nie jest daremnie przelewanie krwi ludzi, których niczego krom śmierci wywalczyć tu nie zdołają.

Okolo godziny dziesiątej w nocy — armaty Bülowa umilkły raptownie — Wintzingerode także zaprzestał ognia. Soissons jeszcze przez pewien czas ostrzeliwało się przy świetle rac i kul płonących, aż wreszcie, zmęczone, ucichło także i do snu zaczęło się układać.

Naraz, dobrze już po północy, u bramy Craonu rozległ się wystrzał a w ślad za nim trąbka. Żołnierze, stojący w pobliżu na murach, chwycili za broń — gdy w ciemni powiała biała chorągiew.

— Parlamentarz! — rozległ się donośny głos.

Adjutant-komendant Bouchard ocalił życie kapitanowi pruskiemu Martensowi, wysłańcowi Bülowa.

Moreau z godnością przyjął parlamentarza, wysłuchał wszystkich jego przedłożeń i wyliczeń, dowodzących, że załoga ma jeden tylko ratunek, dobrowolne ustąpienie z placu — i zażądał okazania sobie pełnomocnictw. Martens zmieszał się, rozumiejąc doniosłość uchybienia formalności. Generał spojrział dumnie na kapitana i kazał mu najpierw przynieść upoważnienie.

Martens powrócił z niczem do Bülowa. — Moreau zawiadomił sztab o hardej odprawie danej parlamentarzowi i zebrał radę wojenną.

Do rady powołani zostali Bouchard, Strols, Hillier i Kosiński.

Generał wyłożył pogroźki Bülowa, przedstawił beznadziejne położenie Soissons i zarządził głosowanie.

Hillier, wezwany, jako najmłodszy rangą, do głosu bez ogródki oświadczył, że ponieważ miasto najmniej jeszcze czterdzieści ośm godzin może się bronić, więc tu niema nad czem radzić. Strols

z Bouchardem zaproponowali Saint - Hillierowi, a choć Strols mówił coś o oporze, jednak zgadzał się z Bouchardem w przekonaniu, iż poddanie można odwlec, ale nie uniknąć.

Gdy przyszła kolej na Kosińskiego, ten ozwał się zimno:

— Czy pan generał zna dekret cesarski z dwudziestego czwartego grudnia jedenastego roku?!

— Do rzeczy, pułkowniku!

— Właśnie o niej mówię! Otóż dekret ten powiada, że komendant fortecy zbiera radę wojenną, lecz sam zadecyduje i według głosu najwięcej doradzającego wytrwanie i obronę! Do dekretu się tego odwołuję i żądam zawieszenia wszelkich układow! Moi żołnierze starczą jeszcze!...

Moreau skrzywił się lekceważąco i odparł z intencją:

— Zapomniałeś, pułkowniku, o pełnej treści tego samego dekretu! Powiada on wprawdzie, że dowódca ma pójść za zdaniem najodważniejszym, ale i najrozsądniejszym, a nadto... możliwem do wykonania! Zdanie twoje zaś ma wprawdzie odwagi wiele, aż do fanfaronady, lecz nie posiada dwóch następnych warunków!

— W takim razie pozwól, generale, iż uwagam moją obecność tutaj za zbytęcną!

— Jak ci się podoba, pułkowniku!

Saint-Hillier porwał się także z za stoła.

— Generale! Wobec tego i ja tu zawadzam także!

— Wolna droga!

Po oddaleniu się Saint-Hilliera i Kosińskiego — w radzie zapanowała jednomyślność. Wszelka dyskusja nad tem, „co“ czynić, ustała, a natomiast zaczęły się debaty „jak“. Z tego nowego kłopotu jednak wybawił radę sam Wintzingerode, który, tą samą myślą co Bülow wiedziony, wysłał pułkownika Loewensterna do Soissons z gotowymi warunkami kapitulacji.

Loewenstern był wymowniejszym od Martensa. Wintzingerodemu szło wreszcie tylko o oszczędzenie daremnego rozlewu krwi, zwłaszcza tak męźnych i dzielnych obrońców Soissons, bo, w rezultacie, dość mu zatoczyć drugie tyle armat, aby w gruzy zamienić miasto! Wintzingerodemu żal przecież było miasta, żal tej garstki bohaterów i dlatego dawał im czas do godziny czwartej popołudniu do ustąpienia z bronią, bagażami i dwoma armatami.

Moreau nie był wszakże łatwym do przekonania, zwalczał gorąco argumenty Loewensterna, odwoływał się do Boucharda, który również kilka palących wyrzucił zdań, a nawet apelował do broniącego się drzemce Strolsa. Tymczasem na pomoc Loewensternowi przybył Martens od Bülowa i tym

razem z wielkim arkuszem, opatrzonym pieczęciami i zamaszystemi podpisami.

Moreau zadługo był urzędnikiem sztabu, żeby, wobec tak formalnego dokumentu, mógł wątpić o misji pruskiego kapitana.

Było południe. Soissons wrzało ponurym chrobotem. Żołnierze gotowali się do wymarszu, znosili na wozy swój ubogi dobytek i kleli. Sztab w ustronnej uliczce zbierał również swe bagaże i przez ordynansów wydawał ostatnie rozkazy. Eklererzy już stali gotowi przy koniach — gromadka gwardji narodowej soissonczyków całe swe rodziny ładowała na bryki. Ambulanse wyciągnęły łańcuch białych bud i kończyły sadowienie lżej rannych.

Równocześnie ku bramie reimskiej nadchodziły całe kolumny piechoty Wintzingerodego — aż pół bataljonu strzelców pod samą bramę się zbliżyło i zaczęło odwalać złomy murów — sam Wintzingerode ze sztabem swym wysunął się naprzód. Lecz w tejże chwili, na murach Soissons, błysnęły lufy karabinów.

— Cel! — zakomenderował donośny głos.

Strzelcy, zaskoczeni takim przyjęciem, zmieszali się, Wintzingerode zdarł konia.

— Co to ma znaczyć?!

— Ani kroku dalej!

— Macie ustąpić z murów! Kapitulacja!

— Ale dopiero o czwartej!

Wintzingerode spojrział ku stojącemu na murze pułkownikowi i skłonił mu się.

— Masz pan słuszność! Dopiero druga!

Piechota Wintzingerodego ustąpiła. Mury Soissons znów martwota zaległa. Lecz martwota w żadnym punkcie nie była tak wielką, jak na bastjonie Wolińskiego. Tu, mimo kilku ordynansów Moreau, mimo dwóch bytności Kosińskiego, wszystko trwało w tym samym stanie, w jakim pochwyciła baterję wiadomość o kapitulacji. Armaty poglądały wciąż swemi wyszczerzonymi paszczami na Wintzingerodego, potrzebne koła zdemontowanego granatnika leżały nieuprzątnięte, maźnice do lontów, kule, lejki do prochów, wyciory, krwawe kawały miążgi ludzkiej, koły, naczynia artyleryjskie, wszystek przyrząd baterji był, jakby między jedną salwą a drugą... Jeny kanonierzy, ogniomistrze i żołnierze, rozrzućeni na bezładne, milczące gromadki, w pół leżące na zrębach bastjonu a gdzieniegdzie pod lawetami skulone i szepczące — zdawali się zaprzeczać bojowej gotowości baterji.

Upływały tak godziny, nikt ani tu odezwać się nie śmiał, nikt ruszyć, ani nikt spojrzeć ku miejscu, gdzie zgarbiony a płaszczem omotany siedział major Woliński, skąd raz po raz dobywał się chrobot tłumionego kaszlu. Nawet porucznik Romański,

zwykle tak z majorem zażyły, choć był tuż, a i to odezwać się nie ważył.

Aż na bastjonie ukazał się Kosiński po raz trzeci i do majora podszedł.

— No, kolego, czas do kroćset! Bierz djabli! Pora się zbierać!...

Major podniósł zamglone oczy na pułkownika.

— Zbierać się! Zbierać!...

— Każ ściągnąć dwie i ruszamy! Tfy! Byle prędzej od tych honorów i od tego tchórza! Dwie armaty masz gwarantowane!...

Woliński oburącz za głowę się chwycił.

— Dwie, dwie armaty! Jedną mi zdemontowali!... Staruchę mi zdemontowali! Legjońską!... Rozumiesz, pułkowniku! W niej był dzwon! Grała! Przy czterdziestym piątym, hej, biła starucha! Romański! Biła, co?!

— Biła, majorze!

— W komorę trafili i z nią razem Nieciuński! Patrz, ten płat mięsa na lewo, tu... to i cały Nieciuński! Ogniomistrz!...

Kosiński odchrząknął.

— No, co tam! Chodźcie do kwatery! Już ja was z porucznikiem wyręczę. Kaszel was dręczy!

— A... bo mi brak! Dymu mi brak! Jak bez dymu to ani tchnąć! A muszę tu! Jakże, baterja!

Kosiński zaczął przekładać majorowi a kapitulację wypominać, lecz ten zaciął się i milczał. Puł-

kownik, chcąc z apatji wyprowadzić majora, sięgnął, aby go w ramiona ująć i na nogi postawić — gdy Wolański padł raptownie na ziemię i ucho przyłożył.

Pułkownika żałość zdjęła.

— Kolego, na Boga, co wam!?

Lecz Woliński już się na równe nogi porwał z rozognioną twarzą i zakrzyknął:

— Cesarz!

— Majorze!

— Cesarz! — wołał z rozradowaniem major. — Strzelają! Od Marny!!...

— Strzelają!! — przytwierdzili żołnierze, porywając się z kątów bastjonu.

Kosiński natężył słuch — od prawej strony szedł z oddali istotnie jakiś łomot.

— Majorze, chyba się mylisz?!

— Przysięgam, że to Drouot! Jego komenda, jego miara, jego ład! Pułkowniku, pędź do tamtych póki czas jeszcze!... Cesarz nadchodzi!

Kosiński nie dał sobie dwa razy tej rady powtórzyć i ruszył pędem szukać Moreau.

Woliński tymczasem za lunetę chwycił i zaczął dyktować wymiary celownicze a śmiać się i żartować. W parę minut cały korpus Wintzingerodego, stojący tuż pod murami, był podzielony na równy żer dla baterji.

Major śmiał się przy tem i żartował a przekomarzał się z żołnierzami.

Baterja zawrzała życiem i weselem.

Nagle, w chwili, gdy major sprawdzał cel granatnika, ktoś ujął go za ramię. Woliński odwrócił się, przed nim stał pułkownik Kosiński, blady z ponurem spojrzeniem swych wyrazistych oczu.

— Pułkownik!?

Kosiński odetchnął ciężko i, hamując z trudnością drżenie warg — mruknął przez zęby:

— Nie chce, podlec! Powiada, że podpisał!

— Jakto!?

— Już mu ta hańba wrosła! Ustępujemy! Mam rozkaz dla ciebie! Dwie armaty bierz, a reszta dla koalicji!

— Cesarz nadchodzi!

— Jemu nic do tego! Poddajemy się!

Woliński wyprostował się, za pierś się chwycił i zawołał z mocą:

— Baczność, za lonty!

— Majorze, co zamysłasz!

— Nie oddam armat!

— Jego dowództwo!

— A moja baterja!

Kosiński chciał coś rzec, lecz, spojrzawszy na stężałą twarz Wolińskiego, za rękę go ścisnął i zbiegł z bastjonu.

Moreau już konia dosiadał, gotując się do wy-

marszu na czele załogi, gdy spadła nań wiadomość o buncie baterji. Wysłał więc natychmiast najsurowszy rozkaz do Wolińskiego przez Strolsa a potem przez Boucharda, lecz obydwaj powrócili z niczem. Położenie stawało się groźnem. Wintzingerode lada chwila miał wejść do miasta i oddać honory... ustępującej załodze. Jeden strzał baterji mógł wywołać najzaciętszą bitwę, której koniec był łatwym do przewidzenia, żywa dusza by nie uszła!

Moreau więc próbował grozić Wolińskiemu przymusem, kazał go nawet aresztować, lecz kapitan ani myślał słuchać. O użyciu siły generał marzyć nie mógł, — bo pomruk, idący z szeregów bataljonu Kosińskiego, nie pozwalał wątpić o usposobieniu żołnierzy. Zrozpaczony generał udał się w prośby, lecz i temi nic nie wskórał.

Tymczasem strzały od Marny zbliżały się, potężniały i na dobre zaczęły niepokoić Wintzingerodego. Opanowanie Soissons a raczej podanie sobie ręki z Bülowem przez Aisnę — stało się naglącem.

Wintzingerode zniecierpliwiony maruderstwem wysłał pułkownika Loewensterna do Moreau z przypomnieniem, że już czwarta godzina.

Zdesperowany Moreau przyznał się Loewensternowi do swej bezsilności wobec warjactwa majora artylerji.

Loewenstern wziął na siebie załagodzenie sprawy i udał się na bastjon.

— Majorze, kapitulacja przyznaje panu...
— Nie oddam armat!
— Załoga ustąpi, wojsko nasze wejdzie...
— Sprobóujcie się ruszyć! Widzisz pan lonty?!
— Więc — więc zabierz pan swoje armaty!
— He! — jakto?!
— Słowem oficerskiem ręczę! Byleś ustąpił stąd zaraz...

Major rozchmurzył się, lecz wtem wzrok jego padł na zanurzoną w piachu lawetę zdemontowanej armaty.

— Staruchę zadławiliście mi! Legjońską staruchę!

— Pozwól, majorze, ale nie wiem...
— Armatę najuczciwszą!! Nie ustąpię!...
— Więc dodamy panu cztery!...
— Chyba — że dwunastofuntowe!!...

W pół godziny później załoga Soissons ruszyła w głuchem milczeniu na drogę ku Compiègne, żegnana warczeniem bębnow Wintzingerodego i uprzejmymi ukłonami samego wodza. Na tyłach kolumny pochodowej wlokła się baterja Wolińskiego z zapalonymi lontami, wlokła się bez staruchy legjońskiej, lecz za to czterema nowymi dzwonami zdobna. A na końcu baterji jechał na swym wynędzniałym, starym mierzynku major i uśmiechał się do dwunastofuntówek.

.....

Cesarz był w Fisme! Plan cesarski dobiegał kresu. Blücher ślaniał się już jak zwierz raniony śmiertelnie, a szukający miejsca, gdzieby lec. Ostatnie rozkazy do zabójczego ataku były wydane. Cały ogrom trudności pokonany. Żołnierz francuski gotował się już do okrzyku *vive l'empereur*, okrzyku, który miał mieć echa Jeny...

Gdy, niespodziewanie, do głównej kwatery nadszedł ordynans marszałka Mortier z depeSZami...

Cesarz ryknął z wściekłości.

— Soissons poddało się! Blücher ma za sobą nietylko odwrót za Aisnę, lecz nadto pięćdziesiąt tysięcy Wintzingerodego i Bülowa! Klęska! Pod sąd! Na szubienicę zdrajcę! Generała kazałem, — żołnierzy — a nie tchórze — z tą... tą hołotą se-dańską! Wszystkich oficerów pod sąd!

.....

Tak się rozwił plan cesarski, plan bonapartowski, taką była ostatnia karta dziejów baterji Wolińskiego w Soissons.

Soissons, w lipcu 1904 r.



85581

SPIS RZECZY:

| | Str. |
|----------------------|------|
| CZWOROBOK | 5 |
| POTOCKI | 63 |
| RAPORT | 79 |
| INSTRUKCJA | 99 |
| AMBULANS | 105 |
| ODWRÓT | 117 |
| BUNT | 141 |
| BATERJA | 157 |

Przypisek. Zamiściliśmy w tem wydaniu trzy reprodukcje obrazów Jana Reszkego, jedyne go syna znakomitego artysty-śpiewaka Jana Reszkego. — Jan Reszke syn, zdradzający wybitny talent malarski, jako młodzieniaszek, zaciągnął się w chwili wybuchu Wielkiej Wojny, do drugiego pułku kirasjerów francuskich. Spieszony za przykładem większości owoczesnych kawalerzystów, w twardej służbie okopowej dosłużył się stopnia podporucznika i poległ na polu chwały na schyłku wojny, w momencie rozwijania sztandarów Armji Polskiej we Francji. — Na kilka tygodni przed zgonem doręczył nam te „wizje“ przeszłości.